

## LITWO, OJCZYZNO MOJA

# ZNAD W WILNI



DWUTYGODNIK

Rok V, nr 13 (92)

Wilno, 20 czerwca - 3 lipca 1993

cena 15 talonów  
(1500 zł., indeks 383678)

### JESTEM ZWOLENNIKIEM WYCHODZENIA POZA WŁASNE OPŁOTKI...

- Jest Pan Litwinem, proszę więc powiedzieć, jak Pana przedstawić: jako Bronisława Makauskasa?

- Nie. Pisząc po polsku - jako Bronisława Makowskiego. Tak brzmi moje nazwisko urzędowo - w Polsce, inaczej niż na Litwie, nie działa ustawa regulująca zasady pisowni nazwisk. Wy zmieniając nazwisko i nie martwiąc się o dalsze sprawy, u nas natomiast przyjęto okólnik ministerstwa wobec urzędnika, który ma prawo decydować, w jakich sytuacjach nazwisko można zmienić i dość dowolnie to się interpretuje. Oczywiście, udowodnię, że jestem Makauskas i w Warszawie nie będę miał problemów. Ale problem powstaje gdzie indziej: należy przeprowadzić cały przewód sądowy, żeby w aktach notarialnych mieć prawo do własności. Jest to tak kosztowna sprawa, której czasem nie stać na opłacenie...

- Powiedzmy - choć Polacy na Litwie i mają ustawę dotyczącą pisowni nazwisk, to dotyczy ona wyłącznie języka litewskiego - dlatego wpis do dowodu osobistego zależy też najczęściej od woli urzędnika, który za podstawę bierze sowieckie dokumenty, uwzględniając końcówki litewskie bądź rosyjskie... Ale mniejsza o to. Ponadto Pan jest historykiem.

- Pracuję w Instytucie Historii PAN w Warszawie i zajmuję się stosunkami polsko-litewskimi. Teraz przygotowuję pracę habilitacyjną na temat okupacji państw bałtyckich w latach 1940-1941. Zamierzam też pisać na temat litewskiego ruchu oporu po roku 1941.

- Pan pierwszy podjął się trudu, żeby napisać większą pracę pod tytułem „Litwini w Polsce”.

- Podjąłem ten temat, że tak powiem, mierząc się na zamiary, bo dla jednej osoby wyzerpać zagadnienie tak szerokie, jak kwestia mniejszości nie da się. Historiografia polska uważa, że dwudziestolecie międzywojenne i kwestia Wileńszczyzny są sprawą „czysto polską”. Zaznaczam, że Litwa tego faktu nie uznaje i istnieje spór, nie tylko w historiografii, ale i polityce. A że wynikają z tego określone konsekwencje, to widzimy je i dziś.

- Zaznaczając z góry, że dalecy jesteśmy od jakichś roszczeń odwetowych, których nie ma w oficjalnej polityce po obu stronach, powiedzmy, że różna jest interpretacja i faktów historycznych, i dzisiejszych posunięć również. Po obu stronach.

- Wina nie zawsze leży po obu stronach. Jest zawsze źródło, przyczyna konfliktu. Nie ukrywam faktu, że nie uznaję racji bytu państwa polskiego w Wilnie i na Wileńszczyźnie, tymczasem wokół tego problemu toczą się dyskusje stwarzające wrażenie, jakby chodziło o jądro współczesnej istoty sprawy. Żyjemy przecież w dwóch niepodległych państwach. Litwa przeżywa kryzys i właśnie mniejszość tam żyjąca jest bardziej uczulona na niedostatki, postrzega je w sposób zwielokrotniony. Bo na przykład, bieda ekonomiczna jakoś przez Litwinów jest wythumaczalna, czego mniejszość polska może nie rozumieć. W związku z tym i w Polsce są różne opcje, są różne interpretacje. Zależy, jak to przedstawiać.

- Jakie więc wyjście w tej sytuacji?

- Jestem zdania, że wychodząc z pozycji obywatelskiej i lojalności w kontaktach z rządem, z czynnikami decydującymi można, jeżeli jest dobra wola z drugiej strony, wyjaśnić wiele. Ale nie zawsze jest to możliwe - i na Litwie, i w Polsce. Dobrze, jeśli są to racje jakieś wyższe, wtedy można się spierać. Nie chciałbym mówić o sytuacji Polaków na Litwie, bo mógłbym popełnić wiele błędów, ponieważ byłbym tylko dwa

### Z Bronisławem Makowskim, historykiem i działaczem litewskim w Polsce rozmawia Romuald Mieczkowski



Z cyklu: Dachy wileńskie

Fot. Piotr Jankowski

razy, żeby poznać ten kraj i szczegółów nie znam. Przeraza mnie tępota myślenia. Mówiąc o konfliktach, weźmy Sejny. Były tam nieporozumienia na tle Mszy św. w języku litewskim. Tylko biskup Petz przysłany z Rzymu szczęśliwie tę sprawę rozwiązał. Litwini wystąpili, żeby ze źródła tego konfliktu zrobić miejsce pojednania. Najbardziej nadającą się do tego postacią jest biskup Baranowski, który w większej części swego życia przecież używał języka polskiego, a jednocześnie był znanym poetą litewskim jako Baranauskas. Okazuje się, że miejscowy patriotyzm polski nie pozwala na strawienie faktu, że w Sejnach może powstać jego pomnik - nie patrząc na to, że był ich duszpasterzem! Szukając wyjścia, trzeba więc używać innych metod, załatwić nieformalnych, dyplomatycznych i politycznych. Można więc stosować metodę dialogu, albo... uderzać na alarm, zwracać się do Litwy i narodów świata. Ten przykład wskazuje, że racje lokalne mogą być różnie interpretowane i wykorzystywane. W końcu Polacy może i zezwolą na taki pomnik, ale nie będą nas traktować poważnie.

- Na czym to polega? Czy owe „niepoważne traktowanie” być może bierze się z wciąż małej wiedzy o sobie?

- Uważam, że takie „nieszczęście” jak na Suwalszczyźnie, jest i na Wileńszczyźnie. Polega to na tym, że my w miejscowych środowiskach prawdopodobnie nie mamy czynnika normalnych rozmów, stałych kontaktów - towarzyskich i obywatelskich. To utrudnia rozładowanie wielu sytuacji i rozwiązanie również problemów natury obiektywnej.

- Jakich?

- Na przykład, problemów w szkolnictwie, gdzie brakuje podręczników. Wspomnę tutaj o rozmowie z ministrem, iż będziemy mieli swego pełnomocnika, który ponosiłby część odpowiedzialności za przygotowanie właśnie po-

dręczników w języku litewskim, zgodnie z polskim programem nauczania. To jest proces niejako naturalny: stawiamy na odpowiedzialność własną. Ale kurator lokalny jest znowu miejscowym patriotą i uważa, że nasz przedstawiciel „będzie niedobry”, weźmie więc człowieka swego, też Litwina, który jednak według nas nie ma odpowiedniego przygotowania zawodowego, jak też i zaufania wśród naszej społeczności. I mamy sytuację patową. Będąc złośliwi, moglibyśmy zwrócić się do strony litewskiej, że nas tu gnębią, jednakże należy rozmawiać z pozycji rozwiązania problemu, a nie kto więcej może komu zaszkodzić.

- A kwestia języka litewskiego jako administracyjnego na terenach zamieszkałych przez Litwinów na Suwalszczyźnie?

- Ogromnie nas trapi. Dobrze by było, gdyby tam, gdzie mieszkają Litwini autochtoni, litewski jako język uzupełniający w komunikacji wzajemnej uznano obok państwowego. Na razie nie widzę ze strony Polski dobrej woli. Jeśli żyjemy w demokratycznym państwie, trzeba się na to zgodzić, nie czekając, aż to zacznie owocować nerwowo. W naszej sytuacji cofanie się granicy językowej mniejszości litewskiej jest odczuwalne: wioski, które były litewskie, stają się dwujęzyczne. Jest to kwestia przyzwoitości, żeby litewskość zachować. Asymilacja następuje, kiedy brakuje języka, gdy powiedzmy, wieśniak, przychodzi do urzędu i zmuszony jest napisać pismo urzędowe - wówczas zaczyna się problem. Nietolerancja językowa prowadzi do kompleksów i urazów.

- Wtedy też wokół mniejszości działacze czynią szum, a nie rozwiązane problemy stają się kartą przetargową...

- Stale podkreślam, że model rozwiązywania tych stosunków w przypadku Polski został stworzony w klasycznym ujęciu polskiego MSZ z okresu międzywojennego. Tam mieliśmy ty-

powy klincz i wracamy do tej samej niezdrowej sytuacji. Ponieważ działa teraz mocny czynnik prawa europejskiego, gdzie mniejszościom poświęca się sporo miejsca, więc prawo to do pewnego stopnia nas zabezpiecza, ale tym niemniej więcej spraw możemy załatwić znacznie skuteczniej w kuluarach, niż w bezpośrednich utarczkach z rządem.

- Rozwiązanie niektórych problemów i potrzeb zaspokojenia mniejszości w naszych krajach niektóre środowiska żądają załatwić na zasadach parytetowych.

- Nie należałoby tego wiązać zbyt mocno. Bo czasami różne sytuacje wychodzą na plan pierwszy, są różne proporcje problemu. Zasada wzajemności często jest wykorzystywana niewłaściwie, co z mniejszości czyni zakładników. Co do skali problemu: niektóre sprawy, jakie mają Litwini do rozwiązania w Polsce są dla budżetu tego państwa, wydawałoby się, śmieszne i szybko rozwiązywalne. Ale znowuż potrzebna dobra wola. Powyższy przykład z pełnomocnikiem ds. oświaty wykazuje, jak w sumie małą pracę przeciw sprawie można zepsuć.

- A kontakty z Litwą? Czy nie dałoby się wykorzystać literatury i podręczników z Litwy?

- Do języka litewskiego owszem, ale nauczanie innych przedmiotów już się różni, realizujemy przeciw program państwowy. Podręcznikami z Litwy możemy uzupełniać wątki regionalne, które umacniają rolę małych ojczyzn.

- Język litewski słyszy się też w kościele.

- Z usługą duszpasterską też problem. Tak jest w parafii Widugierach, jest próba odsunięcia Litwinów w Sejnach. Nie wiem, może Polakom na Wileńszczyźnie może odpowiadać akurat wariant - im więcej parafii, tym lepiej, jeśli macie kadry; my natomiast mamy tylko dwóch księży mówiących po litewsku. Litwa też nie może pomóc, bo mało ma księży. Wiemy, że na Wileńszczyźnie aktualnie zatrudniono oficjalnie pięciu księży z Polski. Natomiast w parafiach litewskich brakuje i u was duszpasterzy. Mamy Włocha, który kończył polonistykę, slawistykę i lituanistykę, zna Litwę i Polskę, gdyby udało się go ściągnąć, byłoby to rozwiązanie na jakiś czas idealne i zgodne z doktryną wiary. Język jest tu tak ważny dlatego, że Kościół nie ogranicza się tylko do samej religii, istotna jest też pewna postać o szerszym charakterze również kulturalnym, obcowanie z ludźmi wymaga oczywiście znajomości przedmiotu.

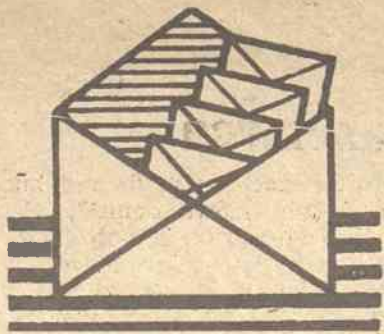
- A jak wyglądają sprawy w działalności gospodarczej Litwinów? Gmina puńska była niegdyś wzorową w Polsce Ludowej.

- Chwaliliśmy się w dobie socjalizmu, że jest ona tak dobrze zagospodarowana. Ale to się kończy, bo wtedy były dotacje. Pomagały i czyny społeczne, do których Polacy się nie garnęli, zaś Litwini chętnie się zgłaszali po te środki z przydziału na zagospodarowanie społeczne. Dawaliśmy robociznę, co w sumie nas kosztowało o dwie trzecie mniej. Myślę, że Polacy na Wileńszczyźnie nie wykorzystali podobnych wcześniejszych możliwości z puli ogólnej, bo kto więcej zrobił, więcej zyskał.

- Na Wileńszczyźnie istniała zupełnie inna sytuacja inwestycyjna. Ponadto trzeba pamiętać chociażby o tym, że są to tereny przyległe do stołecznego miasta, dla którego pobliscy mieszkańcy pracują. Ale powróćmy do Puńska.

- My jesteśmy na pograniczu Polski. Mamy rolnictwo z przetwórstwem i nic poza tym. Polacy na Litwie mogą liczyć chociażby na pomoc z Polski, nawet jeśli to są przestarzałe maszyny

Dokończenie na s. 6



## Witając Ojca Świętego

Pamiętnego 1253 roku jeden z najwybitniejszych organizatorów Państwa Litewskiego, Mendog otrzymał od Stolicy Apostolskiej koronę królewską i został ochrzczony wraz ze swoim dworem. W tym roku minie 740 rocznica tego wydarzenia.

W tym roku odwiedzi Litwę Namiestnik Kościoła Bożego, Pielgrzym Piotrowej Posługi. A jest Nim największy w historii Obojga Narodów, Współrodak, Jego Świątobliwość, papież Jan Paweł II. W Ostrej Bramie Najświętsza Pani powita Swojego Sługę. A w tym roku też mija rocznica zawarcia unii w Horodle. Niech Królowa Polski i Litwy wraz z Duchem Świętym oświecą w wierze wspólnoty i wzajemnego zrozumienia, aby wybrańcy naszych narodów, podążyli należytą drogą!

Takie kairierskie postanie spod Taur z serdecznymi pozdrowieniami przesyłam wraz z grupą mieszkańców Wileńszczyzny, którzy dziś mają tu swój dom...

Łącząc się we wspólnocie ducha odnowy  
Stanisław Jan Staszewski  
Zakopane, Polska

## W sprawie zespołów artystycznych

Wiemy teraz, ile mamy zespołów - dorosłych i nie dorosłych ("Znad Wilii", nr 10). Nie tyle wiekiem, ile poziomem. Cieszyć się należałoby z takiej ilości ośrodków. Ale... Po przejrzaniu listy zespołów nasuwa się myśl, jaki też może być poziom, skoro jedna osoba kieruje aż ośmioma zespołami, w dość odległych od siebie miejscowościach. Kto dziś sprawdza poziom zespołów? Za starych niedobrych czasów przynajmniej były jakieś przeglądy, przed wyjazdem za granicę te przeglądy były całkiem poważne. To zobowiązało do poczucia odpowiedzialności. Dziś każdy, kto tylko umie grać na grzebieniu, uważa się za artystę i wyrusza na podbój Polski i świata.

Zbliża się wizyta Jana Pawła II. Polskie chóry mają brać udział w nabożeństwie. Prawdopodobnie ma być przegląd na sprawdzian poziomu. Czy aby z tego powodu nie dojdzie do kolejnego nieporozumienia.

P.S. Nie podaję swego nazwiska, bo z większością kierowników znam się, zaś za takie „herze” narazona bym została na przykrości.

Czytelniczka „Znad Wilii”  
Wilno

\*\*\*

Z wielkim zaciekawieniem czytam każdą gazetę, dosłownie jednym tchem. Zawszem ciekawa nowin: jak tam na Litwie. Będziemy tu się trzymać, żeby Rosja swoim dalszym i bliższym sąsiadom nie zagrażała.

Grażyna Szyszowa  
Moskwa, Rosja

## O miłych „panienkach z okienka”

W teraźniejszym naszym życiu przeważnie się słyszy i w gazetach się czyta o różnych negatywnych rzeczach: oszustwie, kradzieżach, chamstwie itd. I o tym, że człowiek mogą skrzywdzić i nikt się nie wstąpi w jego obronę, bo panuje bezprawie i kto silniejszy, ten wygrywa... Natomiast bardzo mało się mówi o ludziach z dobrym sercem. Właśnie o nich piszę tych parę słów. Niedawno byłam mile zdziwiona, gdy zwróciłam się do działu paszportowego w III-cim Komisariacie Policji m. Wilna. Chodziło o pieczęć do dowodu osobistego mojej córki, bo bez niej nie mogła otrzymać pieniędzy na dziecko. W pokoju nr 62 komisariatu bardzo miła pani wysłuchała mojej prośby, potem zadzwoniła do koleżanki, która przyniosła potrzebny druczek i w ciągu krótkiego czasu cała sprawa została pomyślnie załatwiona. Oby częściej można było spotkać tak miłe i uprzejme „panienki z okienka”, jak Zinaida Fomczenko i Galina Denidowa, które mi pomogły. Proszę Redakcję, żeby znalazła miejsca na wydrukowanie mojego listu ze słowami wdzięczności.

Wiktorina Adamowicz  
Wilno

\*\*\*

Będę wdzięczny za zamieszczenie krótkiej informacji o stazach profesjonalnych dla studentów polskojęzycznych z litewskich uczelni. W br. typendia Warszawskiego Klubu Rotoractu zostały przyznane następującym osobom: Alinie Jołubowicz (V rok AM), Halinie Kozłowskiej (I rok Pomaturalnej Szkoły Rolniczej), Stanisławowi Krzywcowowi (III rok AM), Annie Macziewicz (IV rok Uniwersytetu Wileńskiego).

Dziękuję serdecznie za wszystkie listy, które trzymaliśmy. Osoby, którym nie zostały przyznane stypendia, zapewniam, że nasza akcja będzie kontynuowana w przyszłości.

Robert Księżopolski, Prezydent WKR  
Warszawa, Polska

# INFORMACJE • INFORMACJE • INFORMACJE

• 6 czerwca premier RL Adolfas Šleževičius bawił w Finlandii. Była to pierwsza oficjalna podróż premiera, której celem było nawiązanie bliższych kontaktów w dziedzinie współpracy ekonomicznej, fińskich inwestycji na Litwie. Odbyło się też spotkanie z premierem RF Esko Aho.

• 14 czerwca bawił w Wilnie z wizytą oficjalną minister obrony narodowej RP Janusz Onyszkiewicz. Dzień później wspólnie z ministrem ochrony kraju RL Audriusem Butkevičiusem podpisali Porozumienie w sprawie ustanowienia dwustronnej współpracy.

• 15 czerwca prezydent RL Algirdas Brazauskas bawił z wizytą roboczą we Francji. Odbyło się też spotkanie z prezydentem Francoisem Mitterrandem.

• Od 17 czerwca z oficjalną wizytą roboczą do USA udał się premier RL Adolfas Šleževičius.

• 18 czerwca zakończyły się wiosenne ćwiczenia wojskowe na Bałtyku, w których do uczestniczących od dwóch dziesięcioleci USA, Niemiec, Holandii, Danii, Norwegii, Szwecji, Finlandii, W. Brytanii i Polski dołączyły się Litwa i Rosja, a Łotwa i Estonia wystąpiły w roli obserwatorów.

• W dniach 14-18 czerwca w Wilnie trwało trzecie ekonomiczne forum „Lietuvos verslas -93” („Rzemiosło Litwy-93”) oraz wystawa -sprzedaż towarów. Wyroby swe wystawiły 32 litewskie firmy.

• Od 25 czerwca na arenę pieniężną Litwy wkracza lit z centami. Wymiana talonów na lity będzie 100:1. Cena dolarów w talonach pada na lity, na szyję (we czwartek 17 czerwca skup był 380-390 lit.), które, notabene nie będą środkiem rozliczeniowym w tzw. walutowych sklepach.

• Od 15 czerwca prawo do wymiany i skupu waluty mają wyłącznie zarejestrowane placówki bankowe.

• Z misją przekazania Ojcu Świętemu pozdrowień i listów młodzieży z Litwy 5 czerwca do Rzymu wyruszyła 12-osobowa rowerowa pielgrzymka harcerzy, wólczegów, studentów i skautów, której przewodzi ks. Dariusz Stańczyk.

• Od 4 miesięcy na Litwie przyrost naturalny jest minus 332 osoby.

• 16 czerwca w Wilnie odbyła się pierwsza wspólna próba litewskich i polskich chórów świeckich i kościelnych szykujących się do powitania papieża Jana Pawła II na Litwie.

• Litwa staje się krajem wymuszania. Wybuch w barze mlecznym (straty rzędu 20-40 mln lit.) jest trzecim z kolei ostrzeżeniem mafii birżajskiej spółce akcyjnej.

• 9 czerwca ambasada Finlandii w Wilnie otrzymała telefoniczne ostrzeżenie o podłożonej tam bombie. Jednak po sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń saperzy nic nie znaleźli.

• Jak nas poinformował mer Podbrodzia Kazimierz Beperszcz... w niedzielę, 6 czerwca, 15-20 żołnierzy z podbrodzkiej jednostki przebranych w dresy sportowe przybyli ciężarówką Gaz i mikrobusem Łatwija pod kawiarnię „Astra”, i restaurację. Ciężko zostało pobitych 12 osób, wśród których trzech bez przytomności karetka pogotowia odwoziła do szpitala. Pobici to Polacy, Litwini i Rosjanie. Powodem „akcji”, miało być zabicie jednego z żołnierzy przez miejscowego mieszkańca... Przypomnijmy, że fakt pobicia mieszkańców Podbrodzia przez stacjonujących tu żołnierzy nie jest pierwszy.

• Z Polski z międzynarodowego festiwalu orkiestr wojskowych wróciła litewska kapela brygady polowej „Geležinis Vilkas”, która zchwyciła publiczność i specjalistów swoim graniem, a także subtelnym repertuarem.

• Uwaga, kierowcy, udający się do Polski. Od 1 lipca za brak gaśnic trzeba będzie słono płacić.

• Od 14 czerwca Litewskie Linie Lotnicze (LAL) latają też do Kazania i Ałma-Aty.

• Piłkarska reprezentacja Litwy przegrała Irlandii kolejny mecz ME wynikiem 0:1.

• Ostrzeżeniem dla nocnych pijaków jest wypadek w rejonie święciańskim. Trójka „niedopitych” mężczyzn energicznie szukała we wsi bimbru. Pech chciał, że trafili na staruszka (1912 r. ur.), który myśląc, że intruzi chcą podpalić chatę (poszukiwacze przyświecali sobie zapałkami) wypalił ze strzelby, lożąc trupem jednego, a dwóch wystarszając na śmierć.

## Litewska kaplica w Warszawie

Właściwie prawie, że nie ma takiej. Przy ul. Krakowskie Przedmieście stoi zrekonstruowany zabytkowy budynek Res sacra miser, XVIII-wieczny przytułek dla bezdomnych. Widziałam w nim biura jakichś przedsiębiorstw. Nad jednym z dwu wejść widnieje krzyż żelazny i tablica z napisem: Rzymsko-katolicka kaplica rektorska Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. I krzyż, i kaplicę łatwo przeoczyć. Krótki korytarzyk prowadzi do wnętrza, które może pomieścić sto osób w ławkach i rzędach krzesel. Kaplica służy licznym grupom wszelkich narodowości wyznania katolickiego przebywającym w Warszawie. Nabożeństwa dla Litwinów odbywają się raz w miesiącu, zwykle w jego pierwszą niedzielę, o godzinie 15-tej. Msze św. w języku litewskim odbywały się tu do 1960 roku. Wreszcie władze kościelne wyznaczyły księdza pół Polaka pół Litwina Roberta Furmana. Mówi on po litewsku wprawdzie jeszcze słabo, ale uczy się języka i jak stwierdzają bywający na nabożeństwach Litwini, czyni w tej nauce szybkie postępy. Wznowiono Msze litewskie od ubiegłego roku.

Starań o osobny kościół dla Litwinów w Warszawie nie było - stwierdził pan Bronisław Makowski, a ksiądz duszpasterz też o nich nie słyszał. Ksiądz biskup Baltakis załatwił sprawę przyznania tej kaplicy na wniosek Litwinów z Warszawy. Ks. bp Romaniuk zgodził się na kaplicę w Res sacra miser i odpowiednio do życzeń dał zgodę na jedną Mszę św. w miesiącu. Takie były potrzeby. Litwinów w Warszawie jest ponad 1800 mieszkających w rozproszeniu po całym mieście, miasto rozległe, uciążliwe byłoby często zjeżdżać się na jedno miejsce, dlatego uczestniczy we Mszy św. niewielka garstka wiernych, zwykle dwadzieścia do trzydziestu osób. Litwini tu mieszkający dobrze znają język polski i chodzą zwykle do świątyni znajdujących się najbliżej ich mieszkań. Z tych samych powodów poza służbą ministrancką ksiądz nie jest w stanie zajmować się litewskimi dziećmi, zwłaszcza, że sam też mieszka, choć niedaleko wprawdzie, ale jednak poza Warszawą. Dzieci spotykają się w Klubie Litewskim na ul. Wiejskiej.

Wszystkie zamieszczone tu wiadomości zacerpnęłam od księdza duszpasterza Roberta Furmana.

Elżbieta Iwańska

## Podziękowanie

Panu Czesławowi Kłyszajko, Prezesowi Koła Trzeciej Dywizji Strzelców Karpaccich w Manchester wdzięczni jesteśmy za przekazanie 250 USD na Fundusz im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego.

Panu Pawłowi Matuszewiczowi z Mountlake Terrace (USA) dziękujemy za przesłanie na potrzeby Redakcji 50 USD.

Redakcja dwutygodnika

## Sprostowanie

W numerze 12 za 6-19 czerwca 1993 „Znad Wilii” w artykule „Zaklasyfikowanie”, zaczynając od 11 wersu od góry w szpalcie środkowej powinno być:

wymieńmy Japonię (pierwsza pozycja w tabeli raportu) - 0,983 oraz Katar (ostatnia pozycja) - 0,802.

Za błąd techniczny przepraszamy.

## TAKIEJ ZABAWY JESZCZE NIE BYŁO!!!

tylko w

RADIU

Znad Wilii

UKF 73,34

Codziennie do wygrania

1000 talonów

w konkursie

"K u F e R e K"

od 11.00 do 14.00

tel. 42 94 72

Tego radia optaca się słuchać

stale i uważnie!

## PRENUMERATA

Czytelnicy na Litwie będą mogli zaprenumerować nasze piśmo dopiero na IV kwartał br. O warunkach prenumeraty poinformujemy. Czytelników z byłych republik Związku Sowieckiego w tej sprawie prosimy o kontakt z redakcją.

Prenumeratę w Polsce załatwia się poprzez wpłatę należności na konto:

Bank PKO SA. VI Oddział w Warszawie;  
konto złotówkowe: Nr 501161-42112989-2510-1110;  
konto dolarowe: Nr 501161-42112989-2510-7870.

Cena prenumeraty rocznej wynosi 200 tys. zł, półrocznej - 100 tys. zł. Prosimy w dopisku wskazać, że na prenumeratę oraz zawiadomić o tym redakcję.

Prenumeratę na Zachodzie załatwić można poprzez czeki personalne oraz money order, które należy przysyłać pod adresem:

c/o Neal Ascherson, account Nr 70127116,  
Barclay's Bank, 146 City Road,

London E.C.1, Great Britain,  
zawiadamiając jednocześnie o tym redakcję „Znad Wilii”:

2001 Vilnius, Išganytojo 2/4, Lithuania

Cena roczna prenumeraty wynosi 44 USD lub £ 28. Piśmo można zaabonować na dowolny okres. Przypominamy, że Czytelnicy na Zachodzie prenumerując nasz dwutygodnik przyczyniają się do zmniejszenia kosztów dostarczania go dla Czytelników na Wschodzie. Również na wymienione konta można wpłacać gotówkę na Fundusz im. Prezydenta E. Raczyńskiego z poinformowaniem o tym redakcji.

## PAMIĘCI PRZYJACIELA

Odszedł ś.p. Henryk Stawryło. Wilno było miastem jego młodości, walk w czasie okupacji, tyle Go z nim łączyło! Stąd wyrwano Go daleko na Wschód, poprzez tamtejszą chłodną i głodną odyseję wrócił do Polski. Wiele lat swego rzetelnego trudu jej oddał jako pracownik systemu wymiaru sprawiedliwości. Mógł już się cieszyć zasłużonym wypoczynkiem, ale nie korzystał z niego. Miał siły i wewnętrzną potrzebę dalszego aktywnego działania. Działał do ostatniej chwili. Od dwu niemal lat na Litwie, jako Konsul w Konsulacie Generalnym RP na Litwie.

Tu na Litwie też był urodzony. Tu Go ciągnęło, miał sentyment do ziemi, do Wilna, do ludzi tutejszych. Umiał słuchać i umiał pomagać. Chciał służyć dla wspólnego dobra tutejszych mieszkańców. Doskonale rozumiał naszą zawiłą codzienną problematykę.

Jak przesłanie brzmią Jego słowa, wyrażone podczas wiecu w swoim czasie przy pomniku poległym braciom w Krawczunach. Ostatnie lata pozwalają na krzewienie i umacnianie powiązań z językiem polskim i kulturą, na kontakty z rodakami, co jest wyznacznikiem nowych czasów, latami, które powinny zaowocować w ramach nowych struktur w Europie i powinniśmy znaleźć swoje miejsce, żeby się żyło lepiej, w spokoju, w zgodzie, w dobrobycie.

Był szczerym rzecznikiem dobrego współżycia mieszkańców Litwinów jak Polaków, pomyślnego ich porozumienia. Odszedł prawdziwie nieodżałowany.

Cześć Jego pamięci!

Redakcja

## Z kroniki czerwca

Do kroniki życia kulturalnego ostatnio weszły dni związane z retrospektywną niejaką Wystawą Książki Polskiej, która była rozlokowana w Bibliotece im. Małżydasa. Istotnie, wystawa swym rozmachem była imponująca. Znalazło się tu wiele wydawców, z setkami tytułów jakże atrakcyjnymi. Nie dziwne więc, że przez ponad tydzień trwania wystawy przewinęły się tysiące zwiedzających. Nie sposób tu wymienić choćby kilku pozycji. Natomiast warto przypomnieć, że całość tego zbioru pozostała w Wilnie - w jej bibliotekach i można będzie sobie spokojnie z tego korzystać. W lokalu redakcji "Znad Wilii" odbyło się spotkanie z wydawcami polskimi.

Odbył się tu też koncert muzyki nowoczesnej zorganizowany przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Zaprezentowali się polscy muzycy Hanna Kulenty, Tadeusz Wielicki i Tomasz Sikorski. Wykonano też „Deszcz w Krakowie” - kompozycję O.Balakauskasa.

Dla odnotowania faktu trzeba dodać, że wystawie tej towarzyszyły różne imprezy. W ten sposób znalazł się w Wilnie Teatr Dramatyczny im. Węgierki z Białegostoku ze spektaklem wg powieści Sergiusza Piaseckiego „Zapiski oficera Ar-

mii Czerwonej”, wystąpiły liczne miejscowe zespoły - „Switezianka”, „Zgoda”, rodziny śpiewające, zespoły „Wiza” Jędrzeńskiego z Podbrodzia, „Kaziuk Wileński”, Orkiestra Kameralna pod batutą Z.Lewickiego, gawędziarz Wincuk (Dominik Kuziniewicz) z przedstawicielkami Zrzeszenia Polek na Litwie w programie „Pod Zodiakiem”.

Również w tym czasie zbiegły się przedsięwzięcia zorganizowane przez „Rodzinę Nadziei” w ramach Dni Kultury Polskiej i Litewskiej. Organizacja ta wspiera dzieci niepełnosprawne. Do imprez tych przyczynili się ks. Korzelecki z Gdańska i ks. Jakutis z parafii niemieckojęzycznej. W ten sposób wilnianie mogli się spotkać w Celi Konrada z pisarką, publicystką Barbarą Wachowicz, a w Pałacu Pracowników Sztuki z wybitną litewską pianistką Aldoną Dvarionaitė, solistką Giedrę Kaukaitė i aktorem Laimoną Noreiką oraz z grupą Teatru Nowego z Warszawy na czele z reżyserem i aktorem Adamem Hanuszkiwiczem.

W sumie Dni te zostały zamknięte 13 czerwca br. na scenie Domu Kultury w Nowej Wilejce.

D.P.

## Potomkowie chanów krymskich i stepowego pioletu gorkiego...

- Znamy początki odrodzenia w ostatnich latach Litwy, a w niej poszczególnych narodowości. Jak to było w przypadku Tatarów?

- W 1988 r. 13-14 osobowa grupa entuzjastów Tatarów postanowiła również odrodzić własną tatarską kulturę na Litwie. Krok po kroku założono Stowarzyszenie Tatarów Litewskich. Stowarzyszenie działa normalnie, mamy stałą siedzibę przy ul. Wiwulskiego 3 w Wilnie. Mamy tu klasy, pokój do modlitw, można zorganizować wystawę. Ludzie tu przychodzą w różnych sprawach dot. życia wspólnoty. Wilno, Kowno, Olita mają swoje oddziały wchodzące do stowarzyszenia republikańskiego. Jego rada republikańska zbiera się każdego miesiąca. Wchodzą do niej przedstawiciele od każdego regionu.

- Czym się konkretnie zajmuje Stowarzyszenie?

- Ważną pracą jest remont i restauracja wszystkich naszych świątyń - meczetów. Mamy je w miejscowościach - Sorok Tatarzy, Rajże, Niemież i Kowno. Kowieński meczet jest ładny, z białego kamienia. Pozostałe są drewniane, praktycznie ich stan jest dość marny, choć niektóre już wracają do pełnienia swych funkcji.

- Wszystkie poprzednio były zamknięte?

- Tak. Były tam składy. Tylko ten koło Olity w Rajżach działał, ale też stan był zły, zaczęliśmy go odbudowywać w 1989 r. Jest już prawie skończony. W końcu sierpnia będzie otwarcie wszystkich naszych meczetów, bo już kończymy w Sorok Tatarach, Niemiezu.

- Kto pomaga w finansowaniu?

- W pierwszej kolejności pomagało państwo. Teraz nie bardzo jest ono w stanie. Wydzielono milion talonów. To nie jest zbyt wielka suma, ale dzięki i za to. Departament Mniejszości wydzielił kilkadziesiąt tysięcy na restaurację zabytków i służba rządu do spraw religii przeznaczyła milion. Również pomaga nam ambasada turecka, która ma siedzibę w Wilnie. Mieliśmy też sponsora ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, z funduszu działającego na rzecz odbudowy meczetów, trochę nam pomogli w ich konserwacji.

- A jaki jest udział Fundacji Kultury Litewskiej?

- Owszem, na początku wsparła nas w zakupach mebli dla pomieszczenia na Wiwulskiego.

- Jaka jest liczebność Tatarów na Litwie?

- Tatarów na Litwie - potomków tych z Wielkiego Księstwa Litewskiego jest 5100. Przyjeżdżnych po rewolucji bolsze-

wickiej i drugiej wojnie światowej - ponad tysiąc. Wszystkiego około 7 tysięcy się naliczy. Szukamy na Litwie kontaktu z innymi muzułmanami: Azerbejdżanami, Uzbekami i innymi, których tu część mieszka.

- Proszę powiedzieć, jak szkolnictwo się rozwija?

- Próbowaliśmy zorganizować szkołę niedzielną w 1989 r. Dobrego z tego nic nie wyszło. Przyjechała młoda pani z Krymu, bardzo dobra nauczycielka. Była tu 4 miesiące, ale nie mogliśmy jej zapewnić mieszkania, dobrych warunków socjalnych.

- Gdzie to było?

- W Wilnie, w szkole litewskiej nr 23. Dzieci chętne były, ale ze względu na warunki sama nauczycielka zrezygnowała. Myślę o szkole średniej, żeby dzieci zgromadzić do jednej szkoły. Dać przedmioty w języku, który one rozumieją. I dać naukę islamu, języka arabskiego, tureckiego. Naturalnie litewski i może niemiecki, któryś z europejskich.

- W jakich szkołach są dzieci tatarskie?

- W Sorok Tatarach, Pogirach, Grygidzkach, Niemiezu. W Sorok Tatarach zbierają się co środę i przez 2 godziny mogą się zajmować religią, językiem.

- Kto to robi?

- Mamy trzech nauczycieli z Turcji. Jeden to faktycznie pracownik ambasady tureckiej, ma ukończone trzy uczelnie, jest teologiem, literaturoznawcą. Dwie osoby przysłało centrum tureckie z Turcji. Najstarszy - 33 lata, najmłodszy liczy 20 lat. W Rajżach zamierzamy wprowadzić nauczanie od początku roku szkolnego. Wysłałiśmy kilku studentów do Ufy i jeden chłopiec uczy się w Libanie. Mamy w tym roku jeszcze kogoś wysłać do Turcji i na Bliski Wschód.

- Czy istnieje współpraca z polskimi Tatarami?

- Z Tatarami w Polsce współpracujemy ściśle i dobrze. Jest ich tam 3 i pół tysiąca. Większość mieszka w Białymstoku i okolicach. Tam też jest ośrodek Związku religijnego wspólnoty tatarskiej w Polsce. No, Gorzów Wielkopolski, Gdańsk. Finansowo niezbyt mocno stoją. Współpracujemy więcej w sferze duchowej, przysyłają nam literaturę religijną. W ubiegłym roku mieliśmy wystawę „Islam na Litwie”. Muszę powiedzieć, że wywołała duże zainteresowanie. I gdy przywieźliśmy eksponaty do Polski, to tamci Tatarzy uzupełnili ją swoimi i była to taka wystawa wspólna.

- Przed wojną było muzeum na Ostrobramskiej. Jaki jest jego los?

## Z Adamem Jakubauskasem, prezesem Stowarzyszenia Tatarów Litewskich rozmawia Danuta Piotrowiczowa

- To była Ostrobramska 3. Teraz tam mieści się galeria „Arka”. Gdy przyszli bolszewicy, to wszystko się walało na ulicy, dużo zniszczono, rozproszyło się po świecie. Coś trafiło nawet do Londynu, część do Polski.

- Czy więc teraz coś się gromadzi?

- To niełatwa sprawa. Kiedy likwidowało się muzeum religii, proponowano nam coś do naszego muzeum. Z Białegostoku, niestety, nie otrzymaliśmy pozwolenia. Jakiś funkcjonariusz podobno nie chciał. Muzeum więc religii zamknięto, jego zbiory przeszły do etnograficznego. Na razie nie mamy własnego.

- Słyszałam, że ktoś pisze monografię o Tatarach i że ma być wydana?

- Monografia była napisana przez Stanisława Kryczyńskiego w 1935 r. i wydana w Wilnie. Teraz Stowarzyszenie Tatarów Litewskich postanowiło tę monografię - bo była najlepsza - przetłumaczyć na język litewski i wydać.

- Mówiło się o pomniku Witolda, który miał być wzniesiony przez Tatarów.

- To jest inicjatywa mieszkańców Sorok Tatarów. To trwa 3 lata. Nie ma pieniędzy na sfinalizowanie tego pomnika. Zebranych było kilkadziesiąt tysięcy. Ze względu na inflację teraz starczyłoby tylko na makietę. Miał mieć 4-5 m, z brązu. Ale teraz to chyba najlepiej byłoby z granitu.

- Jak wygląda sprawa zwrotu ziemi Tatarom np. w podwileńskich wioskach. Wiem, że była przed wojną skomadowana i Tatarzy sobie na niej dobrze radzili.

- To jest problem. Nie mogą łatwo jej odzyskać w stanie sprzed nacjonalizacji. Walczyliśmy o Sorok Tatarzy, ale widzimy, że nie odzyskamy tej ziemi. Funkcjonariusze w rejonie wileńskim oddali ją pod budowę domów mieszkańcom. Jakaś ręka pokierowała na najlepszy czarnoziem. Ludzie mieliby po 40-15 ha. A teraz mają przeważnie po 3 ha. Jest to nie własność, lecz dzierżawa. Czyli problemy te same, jakie ma ludność polska tych wsi.

- Nowogródek, Oszmiana. Tam też mieszkają Tatarzy, macie z nimi kontakty?

- Jesteśmy z nimi jednego korzenia. W święta religijne jeździmy, na przykład, do Iwja. Tam tradycyjnie się zbierano na święto Bajram. Był czas, że zjeżdżało się kilka tysięcy. Ostatnio święto mieliśmy w Niemiezu.

- Jaki jest stosunek Tatarów do zmian w tych dziesiętkach lat? Chodzi mi o po-

jęcie ojczyzny. Czy nie zamierzają wyjechać?

- Przywiązani są do tej ziemi. Była fala migracji, kiedy przyszli bolszewicy. Z terenu Białorusi, z Wileńszczyzny kilkadziesiąt rodzin Tatarów wyjechało do Polski z bojaźni przed represjami. Skorzystali z prawa obywatelstwa polskiego i tej szansy. Ci Tatarzy, którzy tutaj mieszkają, liczą, że tu jest ich ojczyzna - z dziada pradziada, od tych kilkuset lat. W 1997 r. będziemy świętować 600-lecie osadnictwa tatarskiego na Litwie. Chan Tochtamysz przybył wtedy z 40 tysiącami osób na Litwę. Chociaż i wcześniej już przybywali Tatarzy, którzy pomagali Litwinom w walkach z krzyżakami. Ale tradycja się złożyła, że będziemy liczyć od Tochtamysza.

- Jak językowo przedstawia się sytuacja wśród Tatarów?

- Mówią różnie, po polsku też, albo mieszańką białorusko-polską. Znajomość litewskiego np. w Niemiezu jest słaba. Teraz oddają dzieci do litewskich szkół. Młodzież już po litewsku mówi dobrze. Dotychczas wychodziła ze szkół mieszanych, najczęściej rosyjsko-polskich, bądź litewskich, rosyjskich.

- Czego możemy się dowiedzieć o Panu osobiście?

- 25 stycznia 1992 r. zostałem wybrany na przewodniczącego Stowarzyszenia Tatarów Litewskich. Początkowo był pan Bajraszewski, ale raczej półoficjalnie, nie był bowiem obierany. Odbywają się nasze konferencje, jak powiedziałem, i na nich się obiera prezesa. Wybory takie się odbywają co dwa lata.

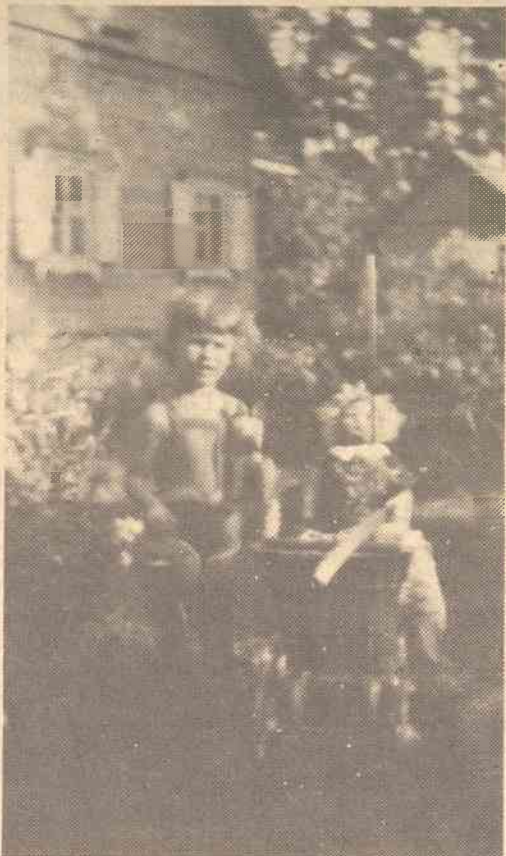
- Urodziłem się w 1964 r. we wsi Butrymonis, tych koło Rajż w pobliżu Olity. Tam zachowała się dość mocna tradycja tatarska. Widziałem tam zgromadzenia rodaków. Wydałem swój pierwszy tomik poezji. Piszę po rosyjsku, jestem filologiem ruscystą po Instytucie Pedagogicznym w Wilnie. Zonaty, mam syna...

- W wierszu Selimowi Chazbijewiczowi Pan pisze m.in. w prozatorskim tłumaczeniu: „Jam dziedzic murzów tatarskich i kruszyna polskiej szlachty (...). Sześć wieków długich mieszkam na ojczyźnie litewskiej ziemi. Tu mój dom - mój brzeg znad Wołgi i krańce dalekiego Krymu...”.

- Tak już zrzędziła historia...

- Dziękuję za rozmowę.

## Idalia Żyłowska



Dom w Zakrecie (dziś go nie ma)

Pamiętam bardzo wyraźnie słoneczny, ciepły dzień 1 września, dzień rynekowy i ten gliniany dzbanuszek za 1 zł., kupiony na mój użytek, już nie zabawka, a poważna, dorosła rzecz. Właśnie wracamy z rynku bardzo zmęczone, bo jednak Łukiszki (rynki odbywały się nie przed, a za kościołem) od Zakretu, gdzie mieszkałam są dość daleko, a dla 8-letniej dziewczynki bardzo daleko, gdy nad nami i wokół nas rozlega się niesłychanej mocy wybuch. Co to może być, chyba nie wojna? - „Nie, nie” - mówi ciocia. Po kilku przyspieszonych krokach spotykamy p. Kazaneckiego, który zapewnia nas: „Wojna”. Wiem tylko, że trzeba śpieszyć do domu, że będzie coś strasznego, ale co? Pan Kazanecki, ojciec pięciorga dzieci i właściciel sadu, z którego kupowało się jabłka, miał bardzo wysoką żonę i był trochę komunizujący, a ponieważ niebogaty, przychodził co dzień wieczorem na gazetkę („Słowo”) i twierdził, że wojna jednak będzie, czym zyskiwał wrogów wśród sąsiadów, którzy woleli spokojne życie w naszej półwiosce przy Zakrecie. Dzbanszek rozbiła szybko babcia i podobno miał to być znak, że się wojna szybko skończy. Tymczasem było jak dawniej, na podwórku politykowano, a my bawiliśmy się w klasy. Nawet chłopcy ganiłi piłkę i trochę flirtowali ze starszymi koleżankami, których byłam powiernicą. Starszy trochę Janek w zielonej pelerynie pojawił się później, był bardzo grzeczny wobec dziewcząt i szanowany przez chłopców. Nie grał z nimi w piłkę, tylko prowadził krótkie, tajemnicze rozmowy. Prędko zniknął, ale był zawsze oczekiwany.

### Bolszewicy

Ktoregoś dnia wbiega do nas zdenerwowana sąsiadka: „Bolszewicy na nas idą” i mdleje.

Dopiero wieczorem ciocia mnie objaśniła, co to znaczy bolszewicy i od razu przestałam się bać, dziwiłam się naiwności sąsiadki. Później zaczęły dzwonić okna we wszystkich pokojach, jakby kto stuknął w nie zgiętym palcem. Co to? To idą bolszewicy i bardzo daleko strzelają. W nocy strzelali bliżej i wyglądało to tak, jakby ziemia wydawała głębokie westchnienie. Nie bój się, mówiła mamusia, to taka bufonada i objaśniała, że to tak na niby, żeby wyglądało, że ktoś na nich napada. „Na gazetkę” zbierało się teraz więcej panów i pań bez mężów, lub po mężach, a mówiło się już nie o bolszewikach, a o Litwinach, że są powolni, rozważni i nie śpieszą się czemuś do ukochanego Wilna. Niechby już przyszli ze swymi salcesonami, wdychali mężczyźni. Znowu mi objaśniono, że Wilno to była stolica Litwy i że Litwini choć nie śpieszą, to zajmą Wilno. „Stolica”, „Litwa” - tego w pierwszej klasie nie przechodziłam i wyobraźnia moja obejmowała tylko postać p. Daniłowiczowej - krawcowej, którą wszyscy nazywali „Litwinką”. Ten kostiumik szyla u Litwinki - mówiła jakaś pani. Pani Litwinko - zwracaliśmy się z największym szacunkiem, myśląc, że to jej nazwisko. - Dlaczego mnie tak nazywacie? Moje nazwisko Danilewicz. - Słyszałyśmy o podwójnych nazwiskach, więc mówimy „Pani Litwinko-Danilewicz, czy Pani się cieszy, że Litwini idą?..” „Pewnie, że się cieszę..” - „A czemu tak długo idą?”. Myślała, że z niej kpimy, a my z całkowitą szczerością i zaciekawieniem.

### Litwini

Aż przyszli. Zanim ich zobaczyłam pojawił się mały lit. Wydawał mi się ładniejszy od złotego i było mi z ego powodu przykro. Później żał mi było kochanych tarych złotych, które lit wypierał. Umierająca „Czarna

babcia” oddała mi swoje metalowe oszczędności: kilka srebrnych dziesięciozłotówek. „Są już bezużyteczne, ale może kiedyś zrobisz z nich bransoletkę”. Pewnego dnia spotkałam litewskiego policjanta, tego „kałakutasa”. „Nie podchodź blisko, bo ma gumową pałkę” - uprzedzały koleżanki. Ale mnie interesował złoty słupek na czapce, a policjant uśmiechnął się i pogroził palcem. Po tym doświadczeniu trudno dawałam wiarę o tych bójkach po kościołach i innych wypadkach. A jednak głęboko zakorzenione poczucie „patriotyzmu” powiedziało mi, że Litwin to wróg. I rozpoczęłam akcję chuligana saneczkowego. Nasza góra była bliżej bramy, prawie łysa. Litewskie dzieci wraz z opiekunkami prędko musiały zrezygnować z tej wygody i przeniosły się na gęsto zalesioną i nie wyslizganą górkę ustawioną pod kątem prostym do naszej. Miałam świetne saneczki, podobno jeszcze mojej mamusi, krótkie, mocno okute i szybkie. Zabawa polegała na tym, by odbić się od ziemi w chwili, kiedy litewskie dziecko już ruszyło w dół, wykierować, wycelować i uderzyć w sanki „przeciwnika”. Robiliśmy to pojedynczo i grupowo. Ja byłam w tym najcelniejsza, miałam uczucie triumfu, zwycięstwa. „O, ta” wskazywały na mnie starsze panie Litwinki - „ta mała z rozdartym płaszczem, jest najzacieklejsza”. Raz w życiu byłam zaciekla...

Po tym była Nijole i „Dulczyneja”, i jeszcze „Fain”. Nijole miała długie, jasne warkocze, była cicha i spokojnego charakteru. Była w wieku starszych koleżanek i te nie omieszkały zapytać ją o imię: Nie Jola? Dlaczego nie Jola, a Nijola? Co to za imię? Czy chcesz się z nami bawić? Nijole trochę mówiła po polsku i prędko stała się modna, dziewczynki chciały w niej zdobyć przyjaciółkę. A ja nie mogłam wymyślić na nią żadnego przewiska w rodzaju „Jeż, Perz, dziki zwierz” i odczuwałam z jej strony niechęć, pewnie z powodu tych saneczkowych wyczynów. Popularność Nijoli prędko skończyła się, gdy zainteresowały się nią wstrętne chłopaki. Ale wtedy zaczęła rzadko wychodzić z domu i rzadko ją widziano. Minęła nieskończoność i miałam zaszczyt uczyć się z jej młodszą siostrą na Uniwersytecie im. Kapsukas. Była bardzo sensowną dziewczyną. Tej zimy, kiedy ptaki zamarzały w locie, woda w wiadrze, a termometr za oknem, jak w najgorszym gatunku dyktator, trzymał nas w mieszkaniach zakutanych w ciepłe swetry, chusty i kołdry, wynajęła u nas pokój Litwinka z prawdziwego zdarzenia o wylubianych oczach i bardzo przykroci. Była to młoda dziewczyna z zakowieńskiej wsi, prześmiętnie wyrażająca się po polsku i stale wymieniająca „ch” na „k”. Pracowała jakoś jako urzędniczka i uczyła się w szkole wieczorowej. Jej litewskie dyktanda, do których zakradałyśmy się po kryjomu, były pełne czerwonych błędów.

Ciocia, nie wiem dlaczego, nazywała ją naszą Dulcyneją. Z tego to powodu nie zapamiętałam jej imienia. Ale w czasach Dulcynei znalazł się w naszym domu chleb i nawet masło. Jedno z najszcześniejszych wspomnień w moim dzieciństwie. Pół bochna wiejskiego chleba wonego, ciepłego, który moge kroić bez końca i smarować złotym masłem. Niestety, bal ten trwał jeden wieczór, a później postne żytynie zacierki, prażuchy, krupnik z robakami i ciągle: „Co by to zjeść?”. Ach, jeszcze jeden smakołyk tej surowej zimy. Dostałyśmy z siostrą cioteczna całego lita na dwie. To na bułeczki z parówką. Bułeczka nacięta, parówka i troszeczkę musztardy. Obieżyliśmy prawie całe miasto w poszukiwaniu tego przysmaku, wszędzie napotykałyśmy wózki z już wyprzedanym towarem, tylko pod Ostrą Bramą udało się. Byłyśmy tak przemarnięte, że z trudem utrzymywałyśmy ostygly skarb.

### Pan Fain

Nie pamiętam, kiedy wyprowadziła się Dulcynea, jej pokój zajął ciemnowłosy pan Fain o wiśniowych oczach. Otworzył w naszych dwóch pokojach tak zwane „domouprawienie”. W „swoim” gabinecie powiesił wielki portret Stalina, a w drugim pokoju oczekiwali przyjeżdżania nasi sąsiedzi. Przechodziłam przed spokorniałymi ludźmi jak nadęta kania, bo wiedziałam, że będą prosić ciocię o wstawiennictwo. Za ścianą wisiał Stalin, a w naszym pokoju ciocia przetrzymała portret Piłsudskiego. Fain spojrział: „A znam tego człowieka z gazet, z politinformacji”. Za to ja tego nowego mocarza z wąsikami nie znałam.

Uczyłam się już wtedy w III klasie, w szkole nr 7, gdzie były wspaniałe korytarze do zabaw w węża. Obsada szkoły była litewska, ale wszyscy mówili po polsku z dziwnym akcentem. Znad tablicy znikł krzyż i pojawił się wianek z kłosów z gwiazdą u góry. Ale była stołówka, o której myślało się bez przerwy w ciągu trzeciej lekcji. Zupka była rzadka, ale ciepła i z kawałkiem chleba. Czasem dostawało się „dobawki”. A pewnego jesiennego dnia wychowawczynie obdarzyły nas tajemniczym uśmiechem i wydała po dwa cukierki od Józefa Stalina. „Od Stalina i tylko dwa” podkpiwali chłopcy, wypychając policzki komunistyczną słodyczą w dwóch egzemplarzach.

Kiedy pochylałam się w domu, ciocia objaśniła mi kto to ten Stalin. U pana Faina dowiedziałam się o letnich wakacjach, a pewnego dnia ciocia, która sprzątała ten ważny gabinet, pokazała mi opuszczoną przez portret ścianę. Co by to miało znaczyć? Pan Fain przenocował jeszcze jedną noc i znikł bez pożegnania.

### Niemcy

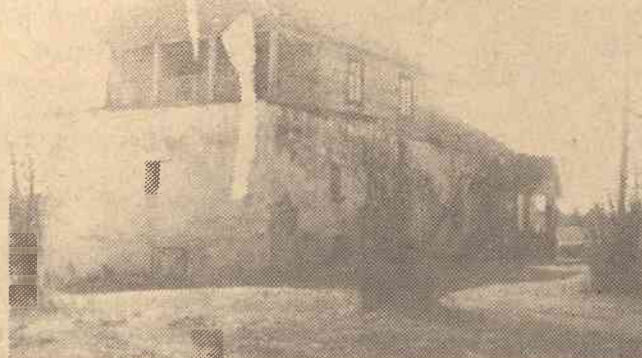
Lato było upalne. Dziwne, że Niemcy rozkwaterowali się po wszystkich sąsiednich mieszkaniach, a pofainowskiego nie zajęli. Trochę byłam zmartwiona, że nie mam Niemców. Od wczesnego rana pluskali się pod studnią i szwargotali w swojej „pięknej”, jak uznali mieszkańcy naszego podwórka, mowie. Ludzie na ogół podziwiali Niemców za czystość i elegancję mundurów, „kulturę” zachodnią i małe czekoladki, które od czasu do czasu dawali dzieciom. Ale znikli Dorka i Sinka, towarzyski moich zabaw, w nocy wyprowadzili ognistorudą Szejmanową i cichutkiego męża. Pojawił się piesek Peni. Jego właścicielka, brzydka Żydóweczka o kruczonych włosach chodziła z nim na spacer. Nigdy z nikim nie rozmawiała, zdawało się, że patrzyła na wszystkich z góry swej wyrafinowanej kultury. Wszystkim było żal pieska, ale każdy bał się od razu go przygarnąć i tylko litościwa ciocia Lali w wielkim z nami sekrecie zaczęła go karmić i wpuszczać po kryjomu do domu. Peni przeżył wszystkie wojny i okupacje i zdechtł ze starości. Szkołę naszą przenieśli na byłą ulicę Piłsudskiego (obecnie Algirdo), a w naszej siódmej otworzono szpital dla jeńców sowieckich. Kiedy spotkałyśmy się pierwszy raz w klasie na pierwszej lekcji, ktoś przemądrzały oświadczył: teraz będziemy się modlić przed lekcją, teraz to już będzie lepiej. Rzeczywiście nad tablicą pojawił się znów dawny, przechowywany przez kogoś, krzyż. Ciagle żyliśmy pod strachem, że szkołę przerobią na litewską, ale nic nie wychodziło z tego, tylko kuliśmy litewskie deklinacje i w nieznanym brzmieniu „Czerwonego kapturka”.

Złote gwiazdy na piersiach idących jezdnią Żydów kojarzyły mi się uczuciowo z bitym psem. Mimo to wyglądałam wśród nich matki Łorki lub Szejmanów i właścicielki Peniego. Raz na Zakretowej ulicy spotkałyśmy z ciocią znajomego jej Żyda. Ciocia zatrzymała się, wymieniła niepewne ukłony i biedny Żyd dał znak byśmy prędzej odeszły. Już od pierwszej klasy przestałam się uczyć z Krysia Janowiczówną. Widocznie dzieci uczyły się prywatnie w domu, ale doszły mnie słuchy, że ojciec jej (znany wileński chirurg) dźwigał na plecach starego Żyda aż do samego getta. Zmusił go Niemiec, kiedy w ich języku zwrócił się do strażnika, mówiąc o litości i kulturze. Janowicza aresztowali, a jego elegancka, władająca językiem niemieckim żona dostała pejcem przez twarz od niemieckiego oficera, do którego poszła w sprawie męża.

A po alejkach Zakretu spacerowały polskie czubate panienki w towarzystwie szarych mundurów. Jeszcze w trzeciej uczyła się u nas bardzo zdolna dziewczynka, która za czasów „słodkiego” Stalina wytańcowywała na przerwie bardzo zręcznie ukraińskiego kozaczka z prisiudami. Zbierało się wokół niej koło dzieci, a nawet nauczycielki wyrażały niemały podziw. Powszechnie ją lubiano jako mądre dziecko.

### Jeńcy w naszej siódmej

Otóż w czwartej klasie podeszła, nie wiem czemu, do mnie i jeszcze jednej dziewczynki i wypytowała, czy widziałyśmy jeńców, których trzymają w dawnej siódmej. Nawet nie zauważyłam, bo skręcałam ulicę wcześniej, ale zgodziłam się zaraz pójść zobaczyć. Przez okno naszych dawnych klas wyglądały twarze białe, jak papier wychudłe, ogolone. Wszyscy byli tylko w białej bieliźnie i wydawało się, że już umierają. Nazajutrz zaniósłszy swoje śniadanie i tak już robiłyśmy co dzień po lekcjach. Dwie cienkie kromki chleba z odrobiną masła lub słoniny zawinięte w papier. Staraliśmy się rzucić do wyższego okna, ale się nie udawało. Raz celowałyśmy to tu, to tam. Oni wszyscy wyciągali nie ludzkie ręce. Czasem spadał z okna świstek. Ale strażnik niemiecki, który sam podrzucił niecelnie rzucony pakuneczek, papierków



Folwark w Korzyści (Naudeliai)

# W WILNIE

podnosić nie pozwolił. Nie pamiętam jak długo trwała ta akcja bezsensownego dokarmiania tych biedaków.

W grudniu umarła mi mamusia. Zaczęłam nosić przy zapięciu sukienki czarną chusteczkę i kochałam ją i pieściłam, jako ostatnią pamiątkę po najukochańszej, której nie potrafiłam pożegnać w ostatniej chwili jej konania. Ale również wielką tragedią było dla mnie to, że na Boże Narodzenie nie będzie choinki. Boże Narodzenie bez choinki było wprost nie do przyjęcia w tym wieku. To jak największe upokorzenie i ubliżenie tylko co zmarłej matce, która bardzo ceniła sobie choinkę i urządziła zawsze robienie zabawek razem z sąsiedzkimi dziećmi. „A u mnie nie będzie choinki” - zwierzyłam się mojej najbliższej koleżance. „Coś wymyślimy” - pocieszała i przed samą wigilią zakradłyśmy się do Zakretu i wycięłyśmy małe drzewko. Nie rozmawialiśmy po drodze i tylko dyszałyśmy na cały głos, spotkałyśmy pewnie leśniczego, ale odwrócił się od nas w pogardzie na nasze złodziejstwo. Naturalnie miałam wyrzuty sumienia, a moja koleżanka bardzo strzeżona przez matkę popełniła chyba największe w swoim życiu bohaterstwo. Bo jakże „Boże Narodzenie bez choinki?”

## Okres Korzyści

Po Bożym Narodzeniu zjawiał się młody pan o błękitnych oczach i mocno kręcących się włosach. O czymś z cicha rozmawiał z ciocią i popatrywał na mnie, co mnie zaszczyciło. Po tym wyjechałam na wieś wozem drabiniastym z ulicy Dobrej w towarzystwie nieznanym mi jeszcze osobom. To mnie nie peszyło, ale całe życie z najostrejszym bólem wspominam twarz cioci: przerażoną, przygnębiającą, rozdartą rozpaczą, cioci, która szła za wywożącym mnie wozem, którym powoził ten miły młody pan, syn Olimpii Turskiej, mojej przyszłej opiekunki.

Zaczął się okres Korzyści: zachwyty prawdziwą wsią, żurawiem i wążutką Czernicą przepływającą koło domu, wypasanie krów z wiejskimi dziećmi. Potem stawek z mądrym Stefanem i sześciolatnią, posłuszną mi we wszystkim Joasią. Spałam w pierwszym pokoju razem z panią Olą. Ona na tapczanie koło okna, ja na starożytnym pościelonym kanapie pod piecem. Sąsiedni pokój był „gabinetem” Jurka - syna i tam on przesyłanie dni z kolegą, p. Staszkiem, z którym przepadał po nocach. Jakoś nie zastanawiałam się nad trybem ich życia, ale kiedy p. Turska objaśniała raz handlarce Cesi, że są młodzi i chodzą po sąsiedzkich folwarkach na tańce, uwierzyłam w to święcie i nic mnie to nie obchodziło mimo podniosło-patriotycznych rozmów z jednolatkiem Stefanem o zniechęconych Niemcach, ich okrucieństwach, których nie byłam naocznym świadkiem, i partyzantce polskiej, do której Misiek z Zawiszą też już uciekł, ale go prędko wrócili do domu (miał lat 14).

Niemcy podobno stali na moście i ciągle ten sam, wcale już nieelegancki w czapce na uszy i z małym plecionym koszykiem chodził do nas i pokornie prosił: „Jajka, matka, jajka”. Ale zawsze mu się odmawiało i wypędzało z nienawiścią. Myślałam, że przecież można by mu dać te parę jaj, których wprawdzie nie zawsze było, „bo to przecież zbiedzony i zmarznięty człowiek”. Nawet zięjący nienawiścią Stefan, który nie tyle o zabijaniu Niemców, ile o gotowości umrzeć za Polskę mówił, też był tego zdania. Dorośli uważali jednak inaczej. Stefan z Joasią i babcią zamieszkiwali bibliotekę, stało tam tyle łóżek, że przecisnąć się było trudno. Pewnej nocy rozległo się mocne stukanie w okno, jeszcze widziałam p. Olę podnoszącą się z łóżka i zapadła w słodki sen, z którego obudziło mnie znowu silne targnięcie. Moja kanapka unosi się w górę, nade mną brodatą męską twarz - nie zbójnicy z bajki, bo miły uśmiech na ich twarzach i polskie słowa: tędy, tędy, ostrożnie. Jak na latającym dywanie, szybkoitko przeniosłam się do pokoju Stefana, nie mogliśmy zasnąć z wrażeń i całą noc „mełliśmy plewy” według szanownej babci.

Dzień był dość mroźny (jakieś -11, -15°), zima śnieżna. Wyszliśmy z Joasią w swoich ciepłych pilotkach i futerkach i chodziliśmy tam i siam, żeby jak najwięcej zobaczyć. Panowie partyzanci wybiegali z domu na wpół nagi i biegli do Czernicy oblać się lodowatą wodą. Ciarki po nas przechodziły, a oni wracali parującą jakąś nieodgadnioną siłą. Zaczęliśmy marznąć w nogi i nudził się już nam bezcelowy spacer, kiedy jeden pan spod klonu kiwnął na nas palcem i gdy podeszliśmy wydał rozkaz: „Chodźcie wszędzie na oko i wypatrujcie starannie, czy nie przechodzi ktoś nieznanomy, bardzo uważajcie”. Byliśmy zachwycone, rozcieraliśmy ręce śniegiem, przytupywałyśmy nogami i w nasuwającym się wczesnym zmroku wytrzeszczałyśmy oczy na tego obcego, który nie nadchodził. Dopiero surowy głos pani Oli zjadł nas z posterunku i kazał natychmiast iść do kuchni. Tam było tyle pary, co w łaźni, pachniało pieczoną cielęciną i kakao, do którego podano nawet prawdziwy cukier. Po samym obiedzie, wróciliśmy do naszego pokoju, w którym podłoga całkowicie była usłana słomą, ale partyzanci, a było ich tak wielu, już nie leżeli, a siedząc wprost na słomie lub stojąc u okna śpiewali wszystkie znane mi z dzieciństwa piosenki wojskowe, nawet tę „Nie płacz matko, nie płacz wiele”.

Nazajutrz, zamiatając ten pokój, znalazłam orzełka z czyjejś czapki. Jakże mi zazdrośczonego tego znalazziska!



Autorka wspomnień



Rzeczka Czernica

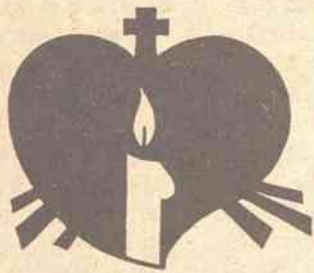
Minęły święta zimowe i Jurek, który tak mi dokuczał lekcjami dobrego zachowania przy stole, wybierał się do „ojca do Warszawy”. Pewnego zamglonego dnia podjechała pod ganek bryczka, a na niej dwaj panowie. Pani Olimpia była spokojna, ale jakoś bardzo surowa w wyrazie twarzy. Już na ganku wyjęła z kieszeni jabłko, prawdziwe jabłko! Ale nikogo nie poczęstowała, rozkroiła na połowę podając jedną synowi (ależ mammo!) drugą zjadła sama. Krótki pocałunek matkę w policzek i syn odjechał. Ale wykręcając wokół klombu spojrzeli raz jeszcze z uśmiechem na matkę, na nas, odprowadzających, nie, jakby nikogo nie było.

Wczesną wiosną zostałam sama w dużym, pakownym domu: wyjechali moi przyjaciele z babcią, wyszła do córki pani Turska. Nie dziwiło mi to bardzo, jest wojna, ludzie przenoszą się z miejsca na miejsce - to sprawy dorosłych. Nocami bałam się bardzo! Dopiero pewnego dnia powiedziała mi Bronia - służąca: „Jak to nie wiesz, że Jurek nie żyje? Zginął w walce z rosyjską partyzantką”. Z rosyjską? Nie z niemiecką! Dlaczego? To mnie wtedy najbardziej bolało, bo że zabrakło na ziemi młodego, wesołego i tak mi życzliwego człowieka wyobrazić sobie nie mogłam.

## Wilno. Wyzwolenie, ale inne...

Znowu jestem w domu, tylko nie w tym kochanym czteropokojowym mieszkaniu z podwórkiem pełnym wspomnień o miłych sąsiadach, o dziecięcych zabawach i kłótniach, a w dwupokojowej suterence, której okna wychodzą wprawdzie na stare sosny i gęsty tatarak porastający „żabie jezioro”, ale obce piękno, nie swoje. Do

placyku, gdzie się zbierały wszystkie starsze i małe dzieci było trochę dalej, a i wszyscy byli jacyś inni. I wtedy to znów pojawił się Janek w pelerynie. Przyszedł do naszych chłopców parę razy, już nie uśmiechnięty, a bardzo poważny. W ciągu paru dni chłopców zabrakło, jakby ich wiatr zmiótł: i Tadzika z Zakretowej o rok tylko ode mnie starszego i Zbyszka, i Jerzyka, i Jurka. Parę tygodni później uciekaliśmy na Sałaty - piękne jezioro wtedy za Wilnem. Uciekaliśmy przed frontem. Stodołę, w której spaliśmy, krzaki w których chowaliśmy się ostrzelivano z nisko pikujących samolotów. W czasie takiej strzelaniny podpełzałam pod wóz i z wielkim strachem myślałam, gdzie jest kochana ciocia, czy znajdzie ją żywą i była to jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu, kiedy spotkałyśmy się i padłyśmy sobie w objęcia. Na „naszą” stodołę wyszli partyzanci, nie ci z Korzyści, ale prawie tacy sami. Mieli biało-czerwone opaski, wszyscy na koniach, a wśród nich był ranny, którego powieźli do izby. Był to okres truskawek i, jak się wydawało, prędkiego wyzwolenia. Przyszło, ale inne. Nasze chłopaki, którzy, jak się okazało, też walczyli o Wilno, wrócili znacznie później, bo aż z Kaługi, twarze mieli ponure, chodzili oddzielnie, milcząco, a matki ich opowiadały w sekrecie, że plecy mieli zbiczowane. I tu zaczęła się ewakuacja do Polski. Domki w ogródkach kwiatowych jedne po drugim zajmowali Rosjanie, w naszym nowym podwórku pojawiły się dwie litewskie rodziny. Nie pamiętam dnia „Zwycięstwa”. Wojna dla mnie skończyła się, kiedy zaczęli rozbiierać płoty. „Płoty to zabytek kapitalistyczny, teraz będziemy wszyscy żyć razem”.



## Czarna rocznica

Syberię ludnością złożyli wieńce przedstawiciele najwyższych władz Republiki Litewskiej - prezydent Algirdas Brazauskas, przewodniczący Sejmu Česlovas Juršėnas oraz premier Adolfas Šleževičius.

A oto słowa, jakie wygłosił zabierając głos Romuald Gieczewski, prezes Polskiej Sekcji Wileńskiego Oddziału WWPiZ:

„Tradycyjnie Dzień Żałoby i Nadziei obchodzimy tu, w Nowej Wilejce, przy dworcu kolejowym. Tędy jechały transporty z więźniami i zesłańcami na Wschód - na Sybir, na Północ - do Workuty, na Południe - do Kazachstanu i tysiąca innych miejsc łagrów. Szczególnie bolesnym był 14 czerwca 1941 roku - dzień najbardziej masowej wywózki; tutaj dokonywano segregacji - *sortirovki* rodzin - oddzielano ojców od dzieci i żon, znęcano się nad ludźmi.

Dla uczczenia Ofiar represji ustawiony jest Pomnik-Symbol. Wobec nieszczęścia i śmierci - wszyscy są równi - bez względu na obywatelstwo, narodowość, wiek, religię. Stojąc przy pomniku wspominamy swoje losy, losy naszych bliskich, tych co odeszli. Modlimy się za nich i oddajemy im hołd.

Chciałbym przypomnieć wydarzenia zeszłego roku. 14 czerwca, a była to niedziela i również Dzień Żałoby i Nadziei, szliśmy do lokali wyborczych, aby wziąć udział w referendum dot. problemu stacjonowania obcych wojsk na Litwie. Znaczna większość mieszkańców Litwy wypowiedziała się za bezwarunkowym wycofaniem wojsk b. SSSR. Niewątpliwie, wyrażona w referendum wola, wpłynęła na opinię światową i układy między państwowe. Jesteśmy świadkami wycofywania okupacyjnego wojska. Jak pamiętamy, Wilno zostało (w okresie II wojny świat.) okupowane przez Armię Czerwoną 19 września 1939 r.

Litwa z wycofaniem wojsk uzyskuje pełną niepodległość, stąd Dzień Żałoby jest także Dniem Nadziei. Chciałbym życzyć, aby Wolna Litwa stała się państwem poszanowania prawa, sprawiedliwości, aby rósł dobrobyt jej mieszkańców, aby zapanowała zgoda.

Zakończę słowami wielkiego polskiego poety - Juliusza Słowackiego:

Niech żywi nie tracą nadziei...!  
Tegul gyvi nepraranda vilties!..

## „ZNICZ” - ZWIĄZEK STUDENTEK POLEK PRZY UNIWERSYTECIE WITOLDA WIELKIEGO W KOWNIE

W setną rocznicę powstania listopadowego, tj. 29 listopada 1930 roku powstał w Kownie Związek Studentek Polek „Znicz”. Związek ten istniał i działał w Kownie przez 10 lat, tj. do czerwca 1940 roku, kiedy to nowe ludowe władze Litwy rozwiązały go.

Inspiratorami Związku Studentek Polek byli Konstanty Plater Zyberk z żoną, Joanna z Billewiczów Narutowiczowa, żona Stanisława Narutowicza i Stanisław Brzozowski z żoną. Oficjalnymi założycielkami „Znicza” były: Zofia Chrystowska, studentka Wydziału Medycznego, Helena Jodkowska, studentka Wydziału Przyrodniczego, Ludwika Kołyszówna, studentka Wydziału Humanistycznego, Weronika Maciejówna, studentka Wydziału Ekonomicznego, Anna Rymwid-Mickiewiczówna, studentka stomatologii, Stanisława Poziemska, studentka Wydziału Medycznego i Eleonora Zwycewiczówna.

Celem Związku było samowychowanie na zasadach etyki chrześcijańskiej, pogłębienie świadomości narodowej, tj. polskości przez samokształcenie. W zasadzie wszystkie członkinie „Znicza” ukończyły polską szkołę na Kowieńszczyźnie, jednakże inspiratorzy Związku pojmowali potrzebę głębszego poznawania języka ojczystego i kultury narodowej. Wszystkie członkinie Związku zobowiązane były do samokształcenia: poznawania historii Polski, literatury i języka.

Naczelnym hasłem „zniczanek” było: „Pokój w nas i wokół nas!” Oznaką członkowską był srebrny pierścień ze zniczem na tarczy, a w jego rogu barwy: biała, czerwona i złota. Wewnątrz pierścienia wyryty był znak „PAX”.

W dniu założenia Związku - wspomina dawna „zniczanka” Ludwika Kołyszko-Mongirdowa - odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele akademickim, wieczorem - bankiet w sali Towarzystwa „Pochodnia”. Brali w uroczystości udział inspiratorzy, tzw. filistrzy, rektor Uniwersytetu Witolda Wielkiego prof. Michał Römer. Działalność Związku rozpoczęła się już od grudnia 1930 roku. Zarząd Towarzystwa „Pochodnia” przydzielił w Domu Polskim przy ulicy Orzeszkowej 12 mały pokój, gdzie co sobota odbywały się zebrania. Wybory do władz Związku odbywały się dwa razy do roku: na semestr jesienny i wiosenny. Tak np., w lutym 1931 roku prezeską „Znicza” była Weronika Maciejówna, zaś sekretarzem Helena Jodkowska, na semestr jesienny 1931/32 wybrano odpowiednio Eleonorę Zwycewiczównę i Weronikę Maciejówną, w 1932 roku były - Anna Rymwid-Mickiewiczówna i Anna Poziemska, w 1933 r. - Helena Jodkowska i Irena Glińska.

### Mieczysław Jackiewicz



Członkinie Związku Studentek Polek „Znicz” w Kownie.

Każda z członkiń „Znicza” miała obowiązek raz w miesiącu przygotować referat na temat historii Polski, literatury, sztuki. Joanna Narutowiczowa, która w tym czasie była przełożoną Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Kownie, i niekwestionowanym autorytetem moralnym, wygłaszała pogadanki na tematy moralnoetyczne, dawała rady studentkom w kwestiach życiowych.

W latach 1931-1934 weszły do „Znicza” jako filistrówki Marta Burbianka, nauczycielka historii w Gimnazjum im. A. Mickiewicza, Helena Szwejkowska i Krystyna Szukszianka, również nauczycielki tegoż gimnazjum. Związek Studentek Polek „Znicz” miał charakter korporacji, chociaż oficjalnie tej nazwy nie używał. Warto tu podkreślić, że była to jedyna bodaj korporacja kobieca. Organizacja ta w ciągu 10 lat istnienia wychowała gorące patriotki, które w latach wojny uczestniczyły w ruchu oporu. Różnie potoczyło się życie członkiń „Znicza”. Losy niektórych swych koleżanek zebrała Ludwika Kołyszko-Mongirdowa, napisała krótkie wspomnienia, które wysłała do Joanny Mackiewiczowej, żony Czesława Mackiewicza, ostatniego sekretarza generalnego „Pochodni”. Joanna i Czesław Mackiewiczowie po 1956 roku mieszkali w Warszawie i tam zmarli. Ich dzieło, tj. zbieranie wiadomości o życiu Polaków na Kowieńszczyźnie, kontynuuje syn Ryszard Mackiewicz, który w swoich zbiorach posiada wspomnienia Lidwii Kołyszko-Mongirdowej. Ze wspomnień tych wynika, że jednak z aktywniejszych członkiń „Znicza”, Irena Giżyńska-Chrystowska po ukończeniu lituanistyki uczyła na Lit-

wie w szkołach polskich. Po 1940 roku pracowała w szkołach litewskich. Ostatnie lata życia (1970-1978) spędziła w Rudominie. Jadwiga Szwejkowska w 1945 roku wyjechała do Polski, w Ostródzie przez pewien czas była dentystką, później wyjechała do Wrocławia. Weronika Maciejówna jeszcze podczas studiów została wysłana do Warszawy (1932 r.) jako stypendystka Towarzystwa „Pochodnia” na bibliotekarstwo. W 1935 roku wróciła do Kowna, zorganizowała Bibliotekę Polską przy Towarzystwie „Pochodnia”. Dzięki jej zabiegom biblioteka „Pochodnia” przed 1939 rokiem liczyła 30.000 tomów. Prócz tego Maciejówna zorganizowała centralę ruchomych bibliotek i sieć biblioteczek w całej Litwie. Po wojnie pozostała w Kownie. Anna Rymwid-Mickiewiczówna, po mężu Wojtkiewiczowa mieszkała w Kiejdanach, gdzie miała gabinet dentystyczny. Po śmierci męża przenieśli się do miejscowości Karmielowo (Karmelava) pod Kownem. Popularna w latach 30 była Eleonora Zwycewiczówna. Podczas studiów na odontologii pracowała w polskiej świetlicy w Szańcach na przedmieściu Kowna. Zakochał się w niej młody świetliczanin-Polak, ponieważ Zwycewiczówna nie odwzajemniała mu miłością, uniesiony zazdrością zabił ją i siebie. Zdarzenie to miało miejsce w 1936 roku i głośnym echem odbiło się po Litwie, zwłaszcza wśród środowisk polskich. Ludwika Kołyszko-Mongirdowa po ukończeniu studiów pracowała w początkowej szkole polskiej w Kownie. W 1935 roku wyszła za mąż i zamieszkała w majątku męża Wielki Dwór w powiecie trockim. W czerwcu 1941 roku z rodziną została wywie-

ziona do Kraju Ałtajskiego, gdzie przebywała do 1956 roku. Dzięki wstawianictwu pisarza litewskiego Antanasa Žukauskasa-Vienulisa wróciła z mężem i synem na Litwę. Wszyscy zamieszkali w Kiejdanach (Kedainiai).

Poza wymienionymi do aktywniejszych „zniczanek” należały Rozalia Walloniśówna, Stefania Kongiellówna, Jadwiga Strukówna, Bronisława Januszewiczówna, Irena Glińska, Regina Kondratowiczówna. Ogółem było 20 członkiń „Znicza”. Nie znamy, niestety, losów wszystkich „zniczanek”. Może ktoś z czytelników wie, jak się potoczyło życie członkiń Związku „Znicz”, jakie były dalsze losy i zechce podzielić wspomnieniami z tamtych czasów.

Prawie każdy związek młodzieżowy w tamtych czasach miał swoją pieśń, coś w rodzaju hymnu. Taką pieśń miały też „zniczanki”. Nie wiemy, kto był autorem tej pieśni, wiadomo natomiast, że powstała w 1932 roku. Kopię tej pieśni przechowuje Ryszard Mackiewicz. A oto słowa hymnu „Znicza”:

*W czasach praocjów naszych  
W gontynach święty żar  
Bez przerwy podsycało  
Dziewoi kilka par.*

*Gdy płomień Znicza zagasł,  
Wróżyć to miało cios:  
Zarazę, wojnę, waśnie,  
Lub inny straszny los.*

*Dziś w sercach gdy rozgorze  
Ten niegasnący Znicz,  
Bo dziś narodu nie tknie  
Sporów i waśni bicz.*

*Niewiasta winna niecić  
I sycić płomień ten.  
A mroki zła rozpierzchną,  
Rozwidni się jak w dzień!*

*A mroczno dziś jest wkoło!  
Więc ogień krzesać trza,  
Zaszczepić miłość; pokój  
Niech każde serce zna.*

*Więc siostry! Gdy już wiemy,  
Co może ducha moc,  
Do dzieła stańmy razem,  
Zniczem rozjaśnimy noc!*

### To, co było... Pocztówka ze starego albumu



Pałac w Werkach na początku stulecia.

### Jestem zwolennikiem wychodzenia poza własne oplotki...

Dokończenie ze s. 1

rolnicze, osprzęt, pomoc agronomiczna. My zaś na materiałową pomoc z Litwy nie bardzo możemy liczyć. Do jakiego też stopnia Litwa jest dla nas partnerem, kiedy nie ma kontaminacji? Co nam proponuje? Może tylko nawozy mineralne, a i to nie bardzo. Nie mówię tego przez przyzmat narodowy. Mogą nas ratować programy, ale nie mamy też wykształconych ekonomistów, zdolnych do podjęcia działań współczesnych, brak bankowców, trzeba utworzyć w Puńsku bank dla miejscowej ludności, trzeba stworzyć bazę kapitałową. Państwowy kredyt jest bardzo drogi, trzeba organizować to, co przed wojną nazywano kasami Stefczyka, znane na Litwie jako kooperatywy. Tylko tą metodą możemy się ratować, wykalkulować, jak zapłacić najmniejszą cenę za doganianie Europy.

- Jak Pan ocenia obecną sytuację na Litwie i działania swoich rodaków?

- Widzimy, jak trudno Litwinom obrać kierunek w życiu państwowym i politycznym. Uwidoczniły to wybory, kiedy z jednej skrajności przeryczano się w drugą. A to jest skutek m.in.

właśnie i tego, że zabrakło podstaw wiedzy, nie rozumie się nadal pewnych procesów, nie wie się, do czego służy państwo, czym jest naród, co to jest obywatelstwo. Nie rozumiemy, na jakich wartościach trzeba oprzeć politykę i są to trudności, które sami sobie stwarzamy. Bo trudności występują właściwie wszędzie, ale jeśli jest postępowanie rozumne, wiele z nich można przezwyciężyć. Chciałbym, żeby o tym pamiętano na Litwie.

- Mijmy nadzieję, że sytuacja kiedyś się poprawi. Nie od razu przecież można dokonać zmian na 180 stopni, wielu rzeczy ludność Litwy dopiero się uczy, musi też pozbyć się znacznego bagażu niedobrych przyzwyczajzeń. Zresztą tak jest w dużej mierze i we wszystkich wyzwolonych krajach, odróżnia nas tylko to, na jakim etapie się znajdujemy. Jaka jest Pańska dewiza na dzień dzisiejszy?

- Trzeba znaleźć sobie miejsce i pracować na rzecz państwa i wspólnych spraw. Roboty jest dużo. Jestem zwolennikiem wychodzenia poza własne oplotki. Inaczej nasza postawa obywatelska będzie ułomna, a przez to i ocena rzeczywistości chorobliwa.

- Dziękuję za rozmowę.



Tylko dla tych, którzy czekając na lity nie stracili nadziei  
Tylko dla tych, którzy przechowywali nie dolary, a talony  
Tylko dla tych, którzy zdążą do 1 lipca ulokować swoje  
oszczędności w postaci terminowych wkładów

bank komercyjny "Vilniaus Bankas" będzie wypłacał za terminowe wkłady, wynoszące 10 000 tł. i więcej,  
następujące odsetki rocznie :

Wkład na okres	1 - c	3 m-ce	6 m-cy	9 m-cy	1 roku
Wysokość odsetków	100 %	110 %	120 %	130 %	140 %

Nasze adresy:

Gedimino pr. 12, Vilnius, tel. 62-69-37, 61-29-49, 62-67-06,  
Vytauto 2, Trakai, tel. 52-793, 52-663,  
Vytauto 83, Tauragė, tel. 54-698, 53-437,  
Ūdrijos 38, Alytus, tel. 38-584, 28-474,  
Vilties 12, Klaipėda, tel. 11-815, 14-769,  
Kranto 28, Panevėžys, tel. 22-555,  
Donelaičio 62, Kaunas, tel. 20-62-81.

## *Fabryka Samochodów Osobowych zaprasza do swoich salonów na terenie Polski*

- Salon sprzedaży  
bezpośredniej  
FSO Brama Nr 9  
Warszawa  
ul. Stalingradzka
- SP „MOTOTRANSPORT”  
ul. Wierzbowa 6 15-743  
Białystok  
tel. 51-25-58
- „POLMOZBYT”  
ul. Wojska Polskiego 98  
16-400 Suwałki  
tel. 26-76
- FSO „Zakł. Elektr.  
Motoryz.” ul. Bema 2  
19-300 Ełk tel. 32-41
- „MOTEL” Sp. z o.o.  
ul. Mazurska 4  
16-300 Augustów  
tel. 24-76



- silnik Citroena 1,9 (DIESEL)
- 7 litrów ropy na 100 km w ruchu miejskim
- trzyczęściowy tłumik przystosowany do montażu katalizatora
- najnowocześniejsza technologia zabezpieczenia antykorozyjnego
- elektryczne podnośniki szyb
- autoalarm z blokadą zapłonu



## Kolejna wspomnieniowa gratka

Co prawda, już w prasie zaczynają się pojawiać prognozy, że twórczość, ze znakiem wspomnieniowym z obszaru Kresów, szczególnie jego tamtejszych wielkich miast - Lwowa czy Wilna zacznie przeżywać swój zmierzch, tym niemniej nadal mamy nowe pozycje tego typu. Taką najnowszą pozycją (bo malusia objętościowo, to równo 100 str.) jest zgrabna liryczna wypowiedź prozą Leona Janowicza pt. „Wagary na Trzykrzyskiej czyli przestroga dla poetów”. To już w tej rubryce druga rzecz tego autora po „Kluczu Hipolita, czyli ostatnie liberum veto na Litwie”. Jak łatwo więc się domyślić, autor jest wilnianinem, w Wilnie spędził swe dzieciństwo i początek młodości gimnazjalnej.

Właśnie ten też okres stanowi tkankę jego narracji wspomnieniowej. Czyni to w sposób bardzo serdeczny, czemu dziwić się nie należy, jeżeli autor pisze, że miał wybitnie szczęśliwą rodzinę - zgodną i raczej bez trosk finansowych. To syn, a właściwie dwaj z bratem Janem - dzieci znanego i szanowanego w Wilnie wykładowcy Ludwika Janowicza, zatrudnionego w Państwowej Szkole Technicznej im. J. Piłsudskiego. Właśnie poprzez sylwetkę ojca, powiemy, zaczynając mamy na stronach książeczki kilka portretów osób z tamtego Wilna. Piszę „Portretów”, bowiem nie są to ze względu na szczupłość pozycji szersze opisy, raczej więc zarysy. W ten sposób poznajemy oprócz ojca - wspaniałego wychowawcy, zaangażowanego z miłością do działalności nie tylko zawodowej, ale i społecznej, też postać innego Janowicza, Jana, lekarza w szpitalu kolejowym na Wilczej Łapie. Niech scharakteryzuje go jeden jedyny czyn, kiedy zobaczywszy na ulicy pędzoną grupę Żydów na Ponary podczas okupacji faszystowskiej swego pacjenta i wiedząc, że nie wolno mu po przebytej operacji chodzić, bierze go na plecy i niesie... W ten sposób się narażając, że sam znalazł się nad zboczem dołu dla skazanych. Uratowała go interwencja dyrektora szpitala, Niemca, któremu

był bardzo potrzebny jako chirurg wysokiej klasy w swym zawodzie. (Nb. Niemiec ów później za swą postawę m.in. wobec Polaków zostanie skazany).

Spotykamy się na stronkach z sylwetką m.in. polonistki Eugenii Kobylńskiej-Masiejewskiej, wtedy wychowawczynią autora wspomnień, a znanej poetki wileńskiej, później też autorki kilku większych pozycji beletrystycznych. Ona też odkryła talent literacki u gimnazjalisty młodego Janowicza, prorokowała mu tę drogę. Ale cóż, widocznie prawda się potwierdza, jak parafrazuje wspominkarz za A. Mickiewiczem, że owszem, *Anioł Poezji przelatuje nad niejednym, ale pocałunek składa na czole nielicznych wybrańców. Daremnie wstawiać na palce i mrugać zachęcająco do skrzydlatego gościa. Uśmiechnie się, pokręci głową i poleci dalej.* Ba, coś podobnego się przydarzyło Leonowi Janowiczowi, ostatecznie w życiu dziennikarzewi, publicyście. Stąd też i drugi podtytuł wynika.

Mamy więc lekturę bezpretensjonalną, napisaną językiem komunikatywnym z kilkoma przesłankami z niej wynikającymi: przyjmować bliźnich jakimi są, nie zaś na miarę naszych pragnień czy wymagań, rodzina powinna stanowić „skarb najdroższy”, wychowawstwo, to nauka współżycia z innymi itp.

Poza tym, co przyciąga w lekturze, wreszcie mamy poza publicystyką czy historycznymi nowymi pozycjami, autentyczne wspomnienia dot. momentów, które stosunkowo przecież jeszcze niedawno stanowiły tabu. Wreszcie się dowiadujemy, jak „chłopcy z AK”, włącznie z autorem wspomnień, pomaszzerowali na wschód, do Kaługi itp. peregrynacje tamtej młodzieży z 1944 roku. Bez cenzury, bez obawy się wyznaje własny udział w szeregach AK, w wyzwoleniu Wilna. U autora to wygląda to dość beztrudno, przynajmniej bez emocji, cóż widocznie już wypaliło. Tak wyglądają „wspomnienia pogodnie” z tagru, gdzie wspólnie z kompozytorem Henrykiem Czyżem czy solistą Bernardem Ładyszem spędził parę lat na robotach leśnych. A jednocześnie przecież istniała ta groza bytu, areszt ojca (zmarł na tyfus w drodze do Buzułuku), zagrożenie wilnian, chowających się głębiej na Litwie po dworach ziemiańskich, gdzie terror był nieco mniejszy i mniej się narażało na eksterminację.

W sumie „Wagary” L. Janowicza, to jeszcze jedna cegiełka do rekonstrukcji dnia minionego Wilna i jako taka godna uwagi.

D.P.

Leon Janowicz „Wagary na Trzykrzyskiej, czyli przestroga dla poetów”, Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, Staszów, 1993



## U schyłku

Wiek dwudziesty wstydliwie jak koldrę przykrótką wieko kufra nad sobą ze zgrzytem zaciąga, chwalone do niedawna swoje oblicze stara się ukryć. Kilka lat mu zostało tej roboty. Zamknie się zasuwanie od wewnątrz, zgiełkliwą swoją szamotaninę wyciszy w oczekiwaniu na pieczęć lakową, jaką mu historia z góry przyłoży. Ale ta nie będzie śpieszyła. Dobre pochwali, wypomni zło na gorąco, aż klucz w kieszeni swoją przepaścistą schowa.

Ciekawscy dziurkę od klucza będą mieli, taki wziernik maleńki na wszystko, co w tym kufrze się mieści zapadającego w mrok zapomnienia. Historycy nowych pokoleń, nie obarczani bezpośrednią pamięcią ani rozgorączkowanymi emocjami, znajdą się wśród tych ciekawskich, wytrychy będą dobierać, wieko podważać i w tej żywej niegdyś puszcze Pandory bezlitośnie grzebać.

Znajdą skrytkę niejedną dla naszego oka jeszcze nie znaną, z dokumentem pisany krwią, krwi żądającym. W długim szeregu „i” mniej ich zostanie bez kropek, ale czy tylko w tym sens grzebaniny?

Penetracja dla penetracji, do żadne za-dośćuczynienie dla tych, co jak ziarno w żarna tego wieku trafili, wyszli jako miazga, a chcieli przecież inaczej sobie i nam, i na przyszłość.

W tych skrytkach i na przedziałach jest tyle nauki mądrej: jak nie trzeba, że wydaje się, wszyscy będą mieli roboty pełne ręce, aby móc ocenić, co się już stało, a co jeszcze może być odwracalne i co niedopuszczalnym być musi.

A może jeszcze czas, póki wieko kufra nie zapadło, historykom, socjo-, psycho-, eko- i wszystkim -logom warto skrzętniej na ręce naszego dwudziestego popatrzeć, co za mechanizmy zegarowe na przyszłość on chowa? Połączyć wszystkie starania w czarodziejski wysiłek, żeby nie tylko grządkę swoją, a cały obszar i w nim człowieka móc dojrzeć. Nie supermena, a takiego małego, zagubionego, pragnącego być w zgodzie ze wszystkim i z sobą, na którym wszystko się trzyma. Łącznie z tymi, od kogo zależy jego los.

Wojciech Radłowski

## Z kolekcji aforyzmów "Znad Wilii"

Każdy człowiek ma trzech głównych wrogów; jednego na górze, drugiego na dole, a trzeciego z boku. Pierwszym jest siła, drugim - bojaźń, a trzecim - zawiść.

Aleksander Fredro

Nie ma niepomysłnych wiatrów dla tego, kto wie, dokąd zdąży.

Seneka

Człowiek jest jak ogród, gdy się nie kultywuje, to się zachwaszcza.

Władysław Śędziak

## Od nowa

# PRZED URLOPOWYM AZYLEM

Sypnęło ostatnio gęsto imprezami. Śpiewano i tańczono w ramach największej z dotychczasowych Wystaw Książki Polskiej. Najenergieczniejszy widz nie mógł wszędzie nadążyć, bo niektóre występy nakładały się z imprezami II Dni Kultury Polskiej i Litewskiej. Do tego trzeba dodać nasze lokalne festyny i różnorodne popisy artystyczne. Pod tym względem Litwa niewątpliwie jest krajem artystów, bo niekiedy było ich więcej na scenie niż widzów na sali.

Imprez kulturalnych nie brakuje i teraz - u progu astronomicznego lata, jakby konieczne chciano się rozliczyć ze swych talentów tuż przed okresem kanikuly, by zrobić nareszcie głębszy *time out*, po którym znowu zaczęłoby się niezawoło rozkręcać, by pełną parą ruszyć gdzieś w okolicach Nowego Roku.

Artystycznych wzruszeń więc nie brakowało, w tym autentycznych. Choć dla każdego przygotowano coś miłego, to rzuca się w oczy nasz wciąż *romantyczny wiek* z modą nie tyle na ballady i romanse, co na folklor i ludowość. To wzruszające, jak w pierwszej parze kroczą dumnie wcale nie stary Maciej i Barbara, ale wydaje się, choć to i podbudowuje naszą tożsamość, uczy tradycji i spełnia jeszcze wiele pożytecznych funkcji, to już należałoby również rozejrzeć się i za innymi formami. Nie tyle *zamiast co obok*, bo jest to wyjątkowo kwestia odpowiedniej proporcji - jak na razie wszystkie nasze szkoły polskie śpiewają i tańczą w *stylu folk*, to samo robią zespoły w terenie przy różnych organizacjach i klubach. Przy całym szacunku dla tradycji, chyba czas zastanowić się i nad innym gatunkiem, bliższym rytmowi naszych czasów.

Ileż naszych zespołów, tych uznanych, powiedzmy, wykorzystuje elementy no-

woczesnego tańca i muzyki, nie wspominając o jakiegokolwiek awangardzie. Żadnych nowoczesnych sztuk, żadnych kabaretów. A plastyka jaka! Za małymi, i to bardzo, wyjątkami, niemal wszystko, co robią nasi malarze i z czym wyruszają na podbój Polski, to żalosne naśladownictwo realizmu rosyjskiego, malowanie *pod Szyzkiną!* Pozwolę sobie pominąć dzieła nie tyle o stylu naiwnym, co zgoła bazarnym, superklicke. Aczkolwiek wszystko to ma patriotyczne nazwy rodem z Wileńszczyzny. Podobnie jest z naszym piarstwem, choć pamiętajmy, że i grafomaństwo jak świat światem wkalkulowane jest do szerokiej twórczości wszędzie.

I jeszcze jedna refleksja nasuwa się po obejrzeniu licznych festynów, z obecności w świętach: jesteśmy śmiertelnie poważni! Patos zabrał uśmiechy, zaś po przemówieniach inauguracyjnych brakuje zwykle miejsca na żart i luz. To wcale nieprawda, że problemy, jakimi żyją rodacy, nie pozwalają na weselszą postawę. Jak tak dalej pójdzie; to cała nasza sztuka pozyska miano *markotnej*, i to w dostojnym znaczeniu, bo przedwojenny Wincuk, choć i przezwany był gawędziarzem Markotnym, to przecie sypał humorem jak z rękawa.

Kiedy w naszych teatrach ostatni raz wystawiono komedię? Od pewnego czasu modne jest owinięcie aktora w prześcieradło lub workowinę i pędzanie go po scenie z górnolotnymi słowami, dobranymi tak, że kompletnie tego nikt nie rozumie, a co się zrozumie, to płakać się chce z tej naszej tragedii historycznej i dzisiejszej. Wszystko to jakieś chore, choć silące się znowu na podniosłość...

Gdzieś coś ku pokrzepieniu ducha? Weselsza nuta? Wszak nie oznacza ona wcale lekceważenia treści.

Z wielką ilością imprez weszliśmy raptem w sezon ogórkowy, choć ogórki są przywożone z daleka, a nasze dojrzewają jeszcze w szklarniach. Wkrótce znaczna

część naszych zespołów i artystów uda się w *tournee* do Macierzy. Tam będą nas chwalić, dziwić się, że tak żywotna u nas tradycja, bo w Polsce nikt nie śpiewa aż tyle pieśni ludowych. To cieszy, ale nie zobowiązuje wszystkich uparcie tkwić w dalekiej przeszłości.

Lato w domu raczej zapowiada się spokojnie, ale w życiu kulturalnym nie będzie przerw - takie miasto jak Wilno zawsze będzie miało wśród swych gości artystów. Będą to z pewnością raczej spotkania kameralne, z potrzeby serca. Trudno się dziwić, że na imprezy znowu przychodzi znacznie mniej osób. Wiadomo, ile mamy inteligencji, nie tyle z wykształcenia, ile z wychowania. Przypomnijmy, co było przed laty, za Sowietów. Na koncerty polskie, do księgarni i na uroczystości na cmentarzach chodzili w sumie ci sami ludzie, oczywiście prócz donosicieli. Potem nastąpiła burzliwa era odrodzenia - zaczęli pojawiać się *nowi*, przed imprezami, w trakcie trwania i po nich, chętnie zabierali głos. Potem znaczna część *nawróconych* znudziła się, rzuciła się w robienie polityki i biznesu, znowu przy kulturze pozostało niemal to samo grono osób, wzbogacone może o swe pociechy. Można też tłumaczyć, że i strona ekonomiczna skutecznie przesłoniła potrzeby ducha, a ogólna atmosfera obrzucania się błotem nie sprzyja życiu towarzyskiemu i kulturalnemu. Dlatego ludzie z utęsknieniem wyczekują na swe *urlopowe azyle*, które choć w części odgrodziłyby od przykrej rzeczywistości.

Doświadczeni nasi podróżnicy wiedzą, że najlepiej o niej zapomnieć za granicą, szczególnie gdy zapraszający w imieniu jakiejś organizacji pokrywa koszty pobytu. Ale nie każdy ma takie *chody*, natomiast wyjazdy prywatne dużo kosztują, więc trzeba przypuszczać, że podróżować głównie będziemy... na wieś. Pod warunkiem, że się ma do kogo pojechać. *Chcę wyjechać na wieś* - śpiewała przed laty pewna piosenkarka. Ponadto tam o wiele łatwiej przejść na wegetarianizm, czemu sprzyja ogólna drożyzna.

Drożyzna drożyzną, ale są rzeczy, które tanieją. Na przykład dolar. Chociaż na dobrą sprawę spadek jego wartości, jak i innych walut wymiennalnych zapewne trzeba odnieść do haczyków, które przygotowali również na sezon letni nasi bankowcy, jeśli tacy są. Przy ogólnym wzroście cen, nie tak dawno na usługi pocztowe, ostatnio na energię elektryczną i codziennie na różne wyroby; przy wzrastającej liczbie bezrobotnych i nikłej produkcji dolar spadł na swej wartości o jedną czwartą z zapowiedzią dalszego spadku! A mówią, że cudów nie ma! W modnej dyskusji przy kantorze jeden z pracowników punktu wymiany ujął mniej więcej tę sprawę tak: latem przybywa dużo turystów, to czemu kieszenie im nie poczyszczyć? Swoi, jeśli i mają skądś *zielone*, to i tak wymienią na życie, najwyżej na czarnym rynku, żeby koniec z końcem powiązać. A że tylko prowadzi się skup i raczej niezwykle rzadko sprzedaje się waluty? Na tym i polega dowcip, wszystko w swoim czasie...

Obok kierowników banków są i tacy, którzy nawet całą teorię opracowali, ciesząc się ze stabilności *zwierzaków*, naszych tymczasowych i wreszcie kończących się środków płatniczych, bo pieniądzem tego nikt nie nazywa. Teoria ta zakłada, że jeśli w przededniu wprowadzenia narodowej waluty talon *będzie mocny*, to i lit taki będzie... Czyżby tym można rozwiązać niepewność, iż bez wzrostu wytwórczości, pohamowania inflacji da się wprowadzić 25 czerwca mocny pieniądz?

Ale i niepewność wobec mocnego lita, podobnie jak i przeżycie ogromu imprez artystycznych ogarnia otoczka zmęczenia, a nawet obojętności. Uciec jak najdalej od tego wszystkiego - przychodzi buntownicza urlopową myśl. Tylko nie każdy potrafi to zrobić, bo i pracy trzeba się trzymać i interesu dopatrzeć również. Dlatego uczy się szukać azylu dla swego umęczonego ciała i ducha na miejscu, wśród ludzi i zdarzeń. W międzyczasie i na krótko. Żeby nabrać oddechu przed kolejnymi zmaganiem z kryzysową codziennością.

Tomasz Bończa